



PRÓBY
ROZSTROJU.



W KRAKOWIE,
W DRUKARNI „CZASU“ FR. KLUCZYCKIEGO I SP.
pod zarządem Józefa Lakocińskiego.

1889.

PROB.

ROXSTROLD.



Small, faint text at the bottom of the page, possibly a library stamp or a date.

PRÓBY
ROZSTROJU.



W KRAKOWIE,
W DRUKARNI »CZASU« FR. KLUCZYCKIEGO I SP.
pod zarządem Józefa Łakocińskiego.

1889.



25374

Osobne odbicie z *Przeglądu Polskiego* z miesiąca Czerwca 1889 r.
Nakładem Redakcyi.

„Bądź strojem w rozstroju.“
Kraśniński — *Resurrecturis*.

Dawno nie zabieraliśmy głosu w kwestyach politycznych, z wyjątkiem chyba koniecznych dla pisma bieżących sprawozdań sejmowych. Powody tego milczenia były następujące: Zdawało nam się, że po długim i głośnym mówieniu lepiej ucieknąć na czas jakiś, bo powszednie głos ustawicznie powtarzany i zużywa się jego wpływ. Lepiej przeczekać trochę, niech się odleży ta skiba: może skruszeje przez czas, a może znajdą się jakie nowe ręce co ją odwracać zechcą. Do takiej nadziei uprawniał nas widoczny i szerzący się wpływ tych myśli i zasad, których byliśmy sługami i obrońcami, objawiający się tam nawet, gdzie nasze osoby lub pisma budziły zawsze jakąś nieufność i niechęć. Skoro tak, to lepiej nie narzucać się niechętnym. Jeżeli sami mniej lub więcej, ale ogółem wzięwszy bez znacznych zboczeń trzymać się będą drogi, którą my mamy za dobrą, to pocóż ich na nią nawoływać? a nawoływaniem naprzykrzać się lub może drażnić i gniewać! Bo i to wyrzucano nam czasem, z pomiędzy bliskich nawet przyjaciół, że zimnej krwi mamy nie dosyć, a namiętne, porywezem słowem szkodę przynosimy tam, gdziebyśmy służyć i pomagać chcieli. Od szkodzenia niech nas Bóg zachowa, jak nasza własna wola zawsze od niego była i jest daleką. Nieraz, co prawda, zauważyliśmy mowy lub uczynki, zdaniem naszym złe i potrzebujące odparcia, ale nie widząc nic takiego, na co sumienie

i przekonanie byłoby nam koniecznie powstać kazało, woleliśmy milczeć, żeby oporem złego nie drażnić, a rzeczom małym nie przydawać większej wagi. Dobrześmy robili, czy źle? sami dziś nie jesteśmy pewni; dość, że te były powody, dla których *Przeźgląd* od wielu lat trzymał się zdala od politycznych spraw i dyskusyi.

Teraz jednak, choć nie zaszło nie takiego coby stan kraju i społeczeństwa znacznie zmieniało, a nas stanowczo do mówienia zmuszało, przechodzi *tempus tacendi* a *tempus loquendi* wraca; nie ciągłego sądzimy mówienia i powtarzania, ale odezwania się przynajmniej raz jeden. Skończyło się sześć lat kadencji sejmowej: warto zobaczyć, co się w tym ciągu czasu u nas albo w nas zmieniło.

Ciężkie one były bardzo. Nie dla nas tu w Galicyi, gdzie przeszły bez żadnego nieszczęścia, a może i cokolwiek pożytku przyniosły; ale ciężkie dla całego świata, gniotły swoim brzemieniem bez wytchnienia i ulgi, gniotły coraz okropniej naród polski po za granicami państwa austriackiego. Logika rzeczy postępuje swoim nieubłagany porządkiem, a skutki dawniejszych przyczyn objawiają się coraz zupełniej. Prawa publicznego niema i niema równowagi sił w Europie; jest tylko samowola mocniejszego i strach przed mocniejszym. Skutkiem tego jest powszechna dla wszystkich konieczność tych uzbrojeń potwornych, któremi w razie wojny, kto wie, czy państwa same zdołałyby kierować, a których w każdym razie ludność żadnego kraju długo nie zdoła wytrzymać. A kiedy ofiary nad słusność i siły na cele państwa i wojska, muszą wychodzić na korzyść socjalizmu i rewolucyi, to znowu gwałcenie wszelkich praw bez przeszkody i oporu, przeczenie wszelkich zasad a uznawanie jednej tylko, własnego interesu, bezkarność tego stanu rzeczy i więcej, bo ciągle jego powodzenie i tryumf psują ludzkość samą, bo tępią w człowieku sumienie, a uczą go że wszystko jest fałszem lub złudą, rzeczywistością i prawdą jedna tylko siła, i jedna tylko własna wola każdego, kto dość mocny by drugiego zgnębił. Jest też w naszym świecie widoczny i wielki postęp nieszczęścia, i postęp nizekzemności; a gdy wiemy, kto dziś nad światem panuje, nie możemy się dziwić, że ten postęp nieszczęścia nigdzie nie jest tak wielki

i widoczny, jak u nas. Rosya i Prusy odkąd przestały się bać opinii — a bały się jej zawsze o tyle, o ile czuły za nią siłę — wywarły swoją wszechmoc na nas. Przed laty jeszcze dwudziestu żaden rząd w Europie nie byłby śmiały przyznać się głośno, że jego celem jest wytepienie jakiegoś narodu; dziś znikły resztki tego wstydu, jaki został po dawnym honorze i dawnem chrześcijańskim wychowaniu europejskiego świata: i niemiecka czy rosyjska *historyczna misja*, nie potrzebuje osłaniać się pozorami prawa. Jedna jak druga żąda żeby Polaków nie było, to dosyć. Nie wyliczamy tu tych wszystkich mniemanych praw, od wypędzenia tysięcy spokojnych ludzi i zmuszania małych dzieci do pacierza i katechizmu w języku którego nie rozumieją, aż do zakazu dziedziczenia, nabywania i posiadania własności, i krwawego nawracania unitów na prawosławie. Zapisywać te rzeczy na papierze dla drugich nie zda się na nic, a dla naszej pamięci nie trzeba, bo w niej zapisane są głęboko: jak są i w rachunku Tego, kto przeklinać i mścić się nie pozwolił, bo sobie zemstę zachował. Dość, że bezkarność przemocy, upojona tryumfem, doszła w tych latach do szczytu bezczelności i wściekłości, a postęp nieszczęścia znaczył się u nas jak milowemi słupami, wyjątkowemi ustawami Izb pruskich i ukazami rosyjskiego samowładzcy. Nawet wojny, która przed rokiem zdawała się bliską, nie mogliśmy pragnąć jako wyjścia z tego stanu ucisku, bo w tej wojnie jedno lub drugie z tych państw zwyciężyć musiało, a które z nich gorsze, tego my sami nie wiemy.

Dla nas w Galicyi nie były te lata szczególnie ciężkie, owszem w porównaniu do tego co znoszą drudzy, szczęśliwe i godne zazdrości; były jednak trudne, a w dobre skutki nie tak jakby należało obfite. Na trud i walkę skarżył się próżno, bo te zawsze być muszą i nie dobrego nigdy łatwo nie przychodzi, a na skutków niedostateczność także trzeba być z góry przygotowanym i wyrozumiałym, bo tak nigdy na świecie nie jest, iżby wszystkie usiłowania plon swój wydały a z ziarna zasianego nic nie przepadło. To też kiedy statystyczne wykazy dowodzą nam, że przez te lat kilka przybyło nam niemało szkół wiejskich, niemało kilometrów dróg

i choć trochę robót około rzek dla zabezpieczenia brzegów od wylewów; że w miastach przybywa domów, w kasach oszczędności złożonych kapitałów, mówimy sobie z niejaką otuchą, że postąpiliśmy cokolwiek naprzód. W piśmiennictwie przybyło przez ten czas kilka dzieł trwałej wartości; w sztukach pięknych urodzaj raczej się wzmagał na ilość, a na jakość nie sądzimy iżby się gorszym stawał. W życiu politycznym, prawda, że jedna tylko była otwarta przed nami droga, i nie było sposobności ni pokusy do szukania innych, ale nie widzimy dotąd ani większych popełnionych błędów, ani też ich skutków. W życiu religijnem wreszcie, jeżeli z jednej strony są straty widoczne w tradycyjnym uczuciu i uszanowaniu, to z drugiej jest przyrost świadomości i statecznych przekonań, i jest dzięki niektórym zgromadzeniom religijnym, i dzięki zwłaszcza doborowi biskupów tak szczęśliwemu, jak nie był od bardzo dawna, oczywisty postęp gorliwości, postęp działania rozpoczętego i wpływu szerzącego się w różnych kierunkach.

Zdawałoby się zatem, że wynik obrachunku jest niezgorszy, i że skoro nigdy tak być nie może, iżby wszystko stało dobrze i jak najlepiej, a ten lub ów kierunek życia stoi nieźle — lepiej niż stał, to tylko Bogu dziękować, cieszyć się i swoje robić przystoi, nie zaś frasować się tem, że wiele do zrobienia pozostaje, że to lub owo mogło być lepiej zrobionem.

A jednak frasunek taki jest, usunąć się nie da, owszem, nie powinniśmy usuwać go od siebie. Społeczeństwo tak zagrożone jak nasze, oddychające jak człowiek chory na suchoty jedną tylko cząstką swoich płuc, a w jednej tylko części swego organizmu mające krążenie krwi mniej więcej normalne, ma większą niż każde inne odpowiedzialność za utrzymanie w sobie zasobu zdrowia i siły, za przysporzenie ich, bo od tego zależy większa lub mniejsza siła i zdolność życia organizmu całego. Nie ma też ono czasu do tracenia: a jeżeli coś zaniedba lub robi źle, nie powinno uspokajać się i pocieszać uwagą, że nie wszystko zaniedbano i źle zrobiono, ale pytać, czy znajdzie czas i sposobność do naprawienia tego co źle zrobione, do zrobienia tego co zaniedbane, i z każdej chwili korzystać, żeby swój byt zabezpieczyć i pokrzepić.

Nasz bilans okazuje w niejednym jakiś dokonany postęp, to prawda, i w tem mamy powód i prawo do jakiejś otuchy; że z ekonomicznego upadku, z umysłowego zacofania, z politycznej niedojrzałości, ze społecznego rozstroju, z religijnej obojętności, nie można odrazu wydobyć się na szczybel wysoki, ale skromnym postępowaniem już cieszyć się trzeba, to także prawda. Ale jeżeli zapytamy, czy przez te ostatnie lat sześć korzystaliśmy z położenia tak jakieśmy mogli; czyśmy nie stracili wiele czasu i wiele pomyslnych warunków; czyśmy ich owszem nie marnowali w bezpotrzebnych, bezużytecznych, szkodliwych rozprawach lub zabiegach; czyśmy swój byt zabezpieczyli, swoje zdrowie wzmocnili, swój fundusz żelazny pomnożyli tyle ile było można; lub też czy zajęci każdodziennymi zewnętrznymi oznakami i wypadkami życia, dawaliśmy mniej baczenia na jego trwale istotne warunki? jeżeli tak zapytamy, to odpowiedź może nas cokolwiek zaniepokoi w sumieniu. Dróg przybyło i rosną kapitały składane w różnych finansowych instytucjach, dzięki Bogu za to, ale ziemi wiele już wyszło z rąk polskich? wiele większych majątków upada pod ciężarem zaległości i dwa razy do roku ze drżeniem czeka fatalnego końca? lud wychodzący do Ameryki musimy zatrzymywać policyjnymi środkami, a zyski z ziemi oddajemy nierzadko dobrowolnie do kieszeni dzierżawcy żyda. Domy rosną po miastach, ale nowe jak stare, czy nie zadłużone tak, że ich właściciel jest często tylko ich dzierżawcą? Szkół więcej, to prawda, ale czy dość zrobiono na to, by ten, co ze szkół tych wyjdzie, był dobrym obywatelem, miał jasno w głowie, a dobrze i uczciwie w sercu; żeby był w zgodzie sam z sobą, ze swoim losem i ze światem, w którym żyć musi? Niektórzy dobrze lub nawet bardzo dobrze piszą, ale my czy dobrze, a nawet czy dosyć czytamy, i czy dbamy o to, byśmy w rozumie, wiedzy, oświacie stali wyżej od poprzednich pokoleń? Nasz sejm zrobił niejedno dobrze, ale czy tego co zrobił nie mógł zrobić prędzej i prościej, i czy nie mógł zrobić więcej, zaprowadzić nas dalej niż jesteśmy, gdybyśmy lepiej byli brali się do dzieła? Nie w ostatnich latach i nie w naszym tylko kraju tkwią przyczyny tego stanu rzeczy, który nam ziemi skutkami grozi, ani w naszej mocy jest czy było w tym

czasu przeciągu wszystko usunąć lub naprawić. Ale o to chodzi, by w przyszłym okresie podobnym ustrzedz się podobnych, jeżeli były, pomyłek i zaniedbań.

I.

Kto baczny i rozważny, ten czuć i widzieć musi, że społeczeństwo nasze przebywa teraz trudną ciężką epokę przeobrażenia. Zmieni się na lepsze albo na gorsze? wyjdzie z tego procesu silniejszym i zdolnym do nowego działania? lub też tak zemdlonem, że się już opierać nie zdoła, ale da się pomału chemicznie rozłożyć i strawić? tego wiedzieć nie możemy: ale to ma być naszą pierwszą myślą i troską, to nasz obowiązek główny, żebyśmy oddzielność, osobistość swoją narodową zachowali nietkniętą, owszem, wzmocnioną. Jeżeli zaś dla każdego narodu takie chwile przeistoczenia są ważne i często niebezpieczne, to cóż dopiero dla takiego, który sobą nie rozporządza i losów swoich sam nie ma w rękę. Ale po czemże wnosić i poznawać mamy, że się u nas i w nas przeistoczenie jakieś odbywa? Po wszystkich oznakach, jakie tylko przejście takie znamionują i zapowiadają; po naszym położeniu nazewnątrz i naszym stanie wewnętrznym; po tem, że przetwarza się nasz skład społeczny a nasz środek ciężkości przenosi się na jakiś punkt nowy; po tem, że posiadanie ziemi, które przez cały ciąg naszych dziejów było podstawą i pierwiastkiem stanowczym naszego narodowego życia, zmienia swoje odwieczne warunki; po tem, że do świadomości siebie, do życia, do znaczenia przychodzą pierwiastki nowe, przedtem zaledwo w naszym składzie społecznym widoczne; po tem wreszcie, że nie u nas tylko, ale w całej Europie zmienia się świat moralny, przynajmniej zmieniają się uczucia i pojęcia moralne, dążności i ideały w rzeczach politycznych. Lat temu trzydzieści, kiedy było zagranicą wspomnieć Polskę, jedni słuchali o niej z zapalem i wzruszeniem, drudzy z niechęcią i wstrętem, ale i z tych nawet, z nader małemi wyjątkami, ci co odbudowanie jej uważali za rzecz niemożliwą, nie śmieli mówić, jakoby ona nie była słuszną. Dziś, ludzie wolni

od namiętności i nienawiści, uważają jej rozbiór za rzecz naturalną i nieuniknioną, uzasadnioną w koniecznej logice historii; „byli słabsi, upadli, muszą ustąpić miejsca innym silniejszym; rzecz najprostsza w świecie, której dziwić się lub na nią oburzać byłoby dzieciństwem.“ I kiedy Prusy w imię swojej *historische Nothwendigkeit* i swojej idei wyrokują że niema nas być na świecie; kiedy Rosya mówi, że ma misyę od Boga sobie daną, rozłożyć nas i strawić; kiedy jedne i druga spełniają na nas gwałty wołające o pomstę do Boga, reszta świata, o ile o tem myśli, tłómaczy sobie te fakta filozoficznie, prawem walki o byt, albo historycznie, mówiąc, że Rosya jest w stanie formacyi i dziś po tysiącu lat tak formuje różne ludy i kraje w jedną całość, jak przed tysiącem lat z nieorganicznego drobiazgu formowały się średniowieczne państwa. Wszystko to jest niby naturalne i w porządku rzeczy! Co więcej, pośród nas samych najnieszczęśliwszych i zawiedzionych sto razy, zdarzają się już tacy, którzy tego procesu rozkładu i assymilacyi nie uważają za uprawniony i dobry wprawdzie, ale jednak za naturalny i logiczny. Gdyby takich miało się zdarzać więcej, to przeistoczenie doszłoby w następstwie do samego szpiku naszych kości, do samej rdzeni naszego jestestwa i ducha.

Nie tu miejsce przypominać, a bez koniecznej potrzeby niewarto, bo zbyt boleśnie, ileśmy sami przyczynili się do takiego zepsucia świata przez to, żeśmy nierozważnym krokiem sobie cios śmiertelny zadali, a Prusom i Rosyi podali szczebel, po którym wyszły do swojej dzisiejszej potęgi, której skutkiem jest, że świat europejski coraz więcej traci wiarę w prawo i świadomość prawa, a godzi się na to, by za jedyne prawo brać siłę, a za jedyną zasadę korzyść i dogodność każdego. Chodzi nam o to tylko, by stwierdzić, że zmienia się w naszym świecie — nie w naszym kraju jeszcze — to, co było przez cały wiek prawie jego ideałem, formą, pod którą wyobrażał sobie postęp, zwycięstwo sprawiedliwości, wyższy stopień bytu, zasługi, cywilizacyi i szczęścia ludzkiego rodu. Od roku 1815 była tem powszechnie ojczyzna; dla każdego narodu jego własna i wolna ojczyzna. Dziś, jak żeby z przegraną Polski, typowej spraw takich wyobrazicielki, idea i zasada sama była przegrała przed trybunałem

historii, — celem, do którego zwracają się pragnienia i usiłowania staje się coraz więcej ród ludzki jako taki, jego nieokreślone jakieś i od różnie narodowych niezależne braterstwo, jego na równości praw uzdolnień i używań zasadzająca się pomyślność. Nie chcemy tu ani przypominać, że doktryny socjalizmu są utopią, która może stać się rzeczywistością, ale nie zdoła nigdy długo trwać: ani też nie chcemy przeczyć, że te Stany Zjednoczone Europy, o których niejeden marzy, może staną się przyszlą formą jej bytu; tem bardziej przeczyć nie chcemy, że lepsze szczęśliwsze warunki życia dla ogółu, dla wielkiego mnóstwa ludzi ubogich, są wielkiem żądaniem i zadaniem, wielkim obowiązkiem cywilizacyi chrześcijańskiej, w którą jedną wierzymy i której służymy. W to tylko nie wierzymy, iżby ogrom ludzkości mógł żyć i rozwijać się organicznie inaczej, jak w formie wielu części składowych, z których każda jest całością i jednością dla siebie; iżby można służyć i pomagać ludzkości całej inaczej, jak służyć i pomagając tej jej części, w której każdego z nas Bóg stworzył a los postawił. Jakakolwiek zresztą ma być przyszłość, dziś to daje się dostrzegać wyraźnie, że jak u schyłku wieków średnich wyrabiała się w naszym świecie narodowe świadomości, organizmy, i patriotyzmy, tak dziś zdają się one ustępować miejsca jakimś pojęciom i związkom jeszcze niewyraźnym, ale bardzo odmiennym od tego co było. „W wiekach średnich“ — mówi Klaczko w *Wieczorach Florenckich* — „pierwiastki społeczne „łączyły i układały się w warstwy *horyzontalne* (jeżeli się „tak wyrazić wolno) podług wspólności pojęć i ich mocy. Od „tego czasu łączenie to i ten układ stał się *wertykalnym*, zwróconym wgląd gruntu, zawartym w pewnych terytoryalnych „granicach... zdaje się, że teraz zbliżamy się znowu do tego „*horyzontalnego* układu warstw, i że pchają nas do niego „właśnie korzyści i interesa. Związki i stowarzyszenia ro- „botnicze nie zważają już wcale na narodowość, oderwały „się od niej zupełnie: a kosmopolityczny radykalizm, kto wie, „czy nie zmusi konserwatyzmu, że i ten także z czasem rad „nie rad kosmopolitycznym się stanie.“ Wiemy dobrze, że u nas nie jest to jeszcze dokonaniem, a spodziewamy się, że w zupełności nigdy urzeczywistnić się nie da: ale tego nie

czuć i nie widzieć nie możemy, że przebywamy okres jakiegoś wewnętrznego przetwarzania się. O to zaś chodzi, żebyśmy z niego wyszli lepsi i tężsi, żeby to przetworzenie było i utworzeniem jędrnego, rozumnego społeczeństwa. Ale pod tym względem właśnie nie jesteśmy bez obawy. Rozumiemy doskonale fakt, że się świat demokratyzuje, i przyjmujemy go daleko szczerzej, niż to się może niektórym wydaje. Ale to wiemy, że są pewne prawa i warunki życia, z pod których żadne społeczeństwo wyłamać się nie może, jeżeli chce żyć trwale i prawdziwie. Choćby najbardziej demokratyczne, zawsze ono jak każde inne musi być organicznem, nie może być anarchicznem: musi mieć i szanować stały punkt ciężkości i stałą równowagę. A jeżeli zechce bez takich się obchodzić, albo mając je, chwiać niemi i zaprzeczać je ustawicznie, to będzie musiało rozpaść się i rozłożyć. Otóż tak jak niegdyś, w wieku XVI, kiedy się formowała demokracja szlachecka, uformowała się krzywo i źle, bo sama niedoświadczona, politycznie niewyrobona, dostała się pod kierunek bieglejszych, zręczniejszych, a mniej od siebie uczciwych wyzyskiwaczy, tak nie jesteśmy bez obawy, by pierwiastki tej dziś się formującej demokracji miejskiej, nie wpadły w ręce podobnych dawnym rozkładowych sił i dążności, które gdyby potrwały, wyszłyby na złe jej samej, i narodowi jako takiemu. O tem więc ostrzedz mamy sobie za obowiązek: a to tem bardziej, że podobnego negacyjnego rozkładowego działania stała się ofiarą dawna Rzeczpospolita; tem bardziej, że coraz rozszerza się koło ludzi, należących czynnie do życia publicznego, a przynajmniej wolą swoją i zdaniem wywierających na nie jakiś wpływ; z większą zaś liczbą ludzi rósć musi w stosunku prostym procent takich, którzy myślą, ale nie dosyć rozważnie i głęboko, a przeto łatwo mogą do błędnych pojęć nachylić się, do szkodliwych działań dać się pociągnąć.

Wydaje nam się rzeczą niewątpliwą, że w ciągu ostatnich lat sześciu wzmógł się u nas na sile i wpływie ten kierunek, który się sam nazywać lubi liberalnym, postępowym i demokratycznym. Nie dziwimy się temu bynajmniej. Sprzyja mu choćby tylko sam coraz większy napływ młodzieży do szkół, i to młodzieży z warstw najliczniejszych i najuboż-

szych. Rzecz prosta, że dla młodych w ogólności, cóż dopiero dla takich, słowo lud, postęp, demokracja, mają wielki urok, a u nich powagę i wiarę; że w późniejszym wieku te wyobrażenia już osiadły i ustaliły się w duszy, i utworzyły w niej warstwę podstawną wszystkich dążeń i działań człowieka. Równie naturalnem jest to, że tylko umysły głębsze i silniejsze umięją w wieku dojrzałym rozróżnić złe od dobrego w tych teoryach, kiedy większość zostaje względem nich łatwowierną nazawsze; że tylko prawdziwie wyższe szlachetne charaktery umięją ustrzedz się od tych społecznych namiętności i nienawiści, które często wślad za temi teoryami iść zwykły. Mamy to więc za zjawisko psychologicznie zupełnie zrozumiałe, a w historii bardzo częste i powszednie, że znajduje wzięcie u ludzi ten, kto się postępowym mieni i postęp obiecuje; i gdyby sposób postępowania tego postępu był inny, gotowibyśmy sami do niego się przyłączyć i pomagać. Ale taki jak jest, nie jest on ani postępem, ani demokracją, ani politycznym programem i działaniem, jest tylko negacją działania i (świadomem lub nieświadomem) sztucznem utrzymywaniem społeczeństwa w stanie chwiejnym, nie dopuszczającym go do osadzenia się w równowadze. Od najrozumniejszego z polskich peryodycznych pism *postępowych*, petersburskiego *Kraju*, aż do najniższych i najostatniejszych, których wymieniać niewarto, wszystkie mają ten sposób działania, który gdyby miał wydać wszystkie swoje logiczne następstwa, prowadziłby naród nie do demokracji, ale do dezorganizacyi; nie do jedności i siły, ale do anarchii; nie do odrodzenia, ale do nicości.

Będzie temu mniej więcej ćwierć wieku, słyszeliśmy rozmowę dwóch młodych ludzi, którą jako charakterystyczną pozwalamy sobie przytoczyć. Starszy, prawie trzydziestoletni, uczył młodszego (nieukończonego studenta), że ludzkość dzieli się na dwa rodzaje ludzi: jedni są jak prości żołnierze lub wyrobniecy, przeznaczeni na to, by chodzili w jarzmie czy w kieracie wszystkich spraw, których społeczeństwo ludzkie tak potrzebuje, jak człowiek pokarmu i powietrza. Te biedne kreatury są koniecznie potrzebne, są pożyteczne, obejść się bez nich nie można. Ale po nad nimi jest dopiero drugi rodzaj ludzi, wyższych zdolnością i przeznaczeniem, którzy

w społeczeństwie są tem mniej więcej, czem jenerałowie w wojsku. Tych zadaniem i obowiązkiem jest nie robić nic, tylko wszystko ganić, wszystkiemu przeczyć, wszystko obalać, co robią tamci. Z przeczenia bowiem i przeciwnieństwa tryska ożyweże źródło wiedzy i postępu: negacya jest pierwiastkiem życia. Ma więc taki *jenerał* przeczyć i przeszkadzać wszystkiemu, co robią tamci, choćby to było najlepszem i najpożyteczniejszem: sam zaś ma czekać, i dopiero kiedy okoliczności dostatecznie przygotowują mu piedestał, ma nań wskoczyć, objawić swoją zasadę, rozpocząć swoje wstępne dodatnie działanie.

Z natury, z wychowania, z przekonania, liczący się zawsze do owego pierwszego pośledniejszego gatunku ludzi, do *szeregowców*, uczeni przez drugich i przez własne sumienie, że gdzie się coś dobrego robi, tam pomagać a nie przeszkadzać winien człowiek, który sam chce być dobrym; uważaliśmy tę całą naukę za prosty wybryk umysłu zarozumiałego a niejasnego, dziwiąc się jedynie, że postępowy demokrata głosił taką naukę, która nam się extra-arystokratyczną zdawała. Nie sądziliśmy jednak, iżby nauka mogła być głębiej zakorzenioną i bardziej rozpowszechnioną, ani też by mogła praktycznie iść się w działaniu. Z czasem jednak przyszło nam poznać, że to, co braliśmy za indywidualne dziwactwo jednej głowy, jest zupełnym filozoficznym systemem, i przekonać się, że system stósuje się owszem w praktycznym życiu. Człowiek zawsze jest ciekawy poznać choć trochę to, o czem wiele słyszy, i ta ciekawość przywiodła nas do poznania, że jak wcielona dziś w praktykę *siła przed prawem*, tak i owa *negacya* ma swoją filozofię: że jest pierwiastkiem bodaj nie głównym całego systemu Schopenhauera; że dla Maxa Stirnera naprzykład *negacya* wszystkiego, co nie jest człowiekiem samym, jego wolą, zachceniem czy żądzą, jest jedynem pierwszym prawem i obowiązkiem, z czego jako logiczne następstwo wynika *rozkosz niszczenia*. Herzen znowu pisze, że tylko „przeczenie jest rozumem, a „rozum przeczącym. Duch przeczenia musi wszystko niszczyć, „bo jest wiecznym a niezbadanym pierwiastkiem życia i siłą „twórczą. Rozkosz niszczenia jest rozkoszą tworzenia. Ta- „jemnicze a straszne słowa: wolność, równość i braterstwo,

„oznaczają zagładę politycznego i społecznego porządku „świata.“

Nie sądźmy wcale, iżby wszyscy nasi *postępowi* czytawali Schoppenhauera i opierali się na filozoficznych systemach, ani też żeby wszyscy byli tak logicznie rewolucyjni, jak Herzen; ale pewnej zgodności między tą filozofią a ich postępowaniem niepodobna jest nie widzieć i nie przyznać. Teorya owego *Jenerała* o obowiązkowym przeczeniu, bardzo być może że na tym gruncie wyrosła, a sądząc po tem co się widzi, przypuszczać trzeba, że stała się politycznym programem naszych *Jenerałów*, dość ściśle nawet i statecznie wykonywanym.

Uważając pilnie, widzi się, że pomiędzy nami a naszymi przeciwnikami niema sprzeczności znacznych co do bieżących kwestyj praktycznych. Czy zmieniliby, gdyby mogli ogólny kierunek zasadniczy polityki polskiej w Państwie Austryackiem? Co najwięcej nachyliliby się bardziej ku liberalnej lewicy Rady państwa, choć i to mimo pociągu nie byłoby łatwym, ze względu na centralistyczne, krajowi przeciwne i wstrętne dążności i zasady tej lewicy. Zgody z państwem naruszyłoby zapewne nie chcieli? konieczność dostarczenia mu warunków bezpieczeństwa i obrony rozumieliby, sądźmy, tak jak my. W różnych sprawach, które się przez ten czas w Sejmie czy w Radzie państwa toczyły, wierzymy, że mogą mieć inne od naszych zapatrywania, ale nie mogą dowieść, iżby sprawy te prowadzone były źle, ze szkodą kraju. Nie bez znacznych i ciężkich z jego strony na rzecz państwa ofiar (nieuniknionych zresztą), ale i nie bez pożytków, nie bez uwagi rządu na potrzeby kraju. Zkądże więc ta zacięta i systematyczna walka z ludźmi, których nazwano stronnictwem rządzącem? Zkąd się bierze i na czem zasadza ta potrzeba czy namiętność podejrzewania i podawania ich w podejrzenie, udawania za złe wszystkiego co oni robią? Jest w tem wiele zapewne tego nieszczęsnego wrodzonego nam podejrzliwego usposobienia, które jak dawniej tak i dziś posadzać lubi o zdradę ojczyzny; ale to usposobienie jak dawniej tak dziś jest narzędziem tylko albo warsztatem, na którym tkają swoją przędzę wprawni i biegli tkacze. W pewnej mierze jest

zapewne u niektórych i zazdrosne znane *ôte toi de là pour que je m'y mette*, ale z jednym i drugim łączy się, jednym i drugim może kieruje: passya i zasada przeczenia.

Znajdziemy w tem działaniu negacyę wszystkiego, co jest warunkiem życia i ładu w społeczeństwie.

Religii niby nie prześladowuje się otwarciem, częścią przez roztropność, żeby nie spłoszyć i nie zrazić do siebie ogółu, zawsze jeszcze religijnie usposobionego; częścią przez uczucie polskie, żeby Rosyi i Prusom nie pomagać w prześladowaniu Kościoła; ale nie opuszcza się żadnej sposobności, żeby nieznacznie i krytym sztychem uczucia i przekonania religijne osłabiać i podkopywać. Szanuje się i napozór wyznaje wiarę, ale Kościół wystawia się jako coś podejrzanego, szkodliwego. W przeszłości, jak w sprawach dzisiejszych, on nigdy nie ma słuszności i dobrej sprawy; mają ją zawsze jego przeciwnicy i nieprzyjaciele. Książki historyczne uczą nas, że Luter i Voltaire byli dobrodziejami ludzkości, papież jej nieprzyjaciółmi i ciemężycielami; książki filozoficzne uczą, że Objawienie jest urojeniem, wiara przesądem, a chrześcijaństwo mythologią jak każda inna. Dzienniki pojmują wolność wyznań i sumień tak, że żyd lub bezwyznaniowiec nie może być ograniczonym w swojej wolności, ale katolik być nim musi, bo jego wolność byłaby krzywdą dla wolności tamtego. Niema się nigdy jednego słowa nie już oburzenia, ale choćby łagodnej nagany dla Izb i Rządów francuskich i włoskich za ich zachowanie względem Kościoła; jeden jest republikański, drugi rewolucyjny, oba bezwyznaniowe, więc oba mają słuszność. Ale równocześnie bierze się wiarę i Kościół w obronę przeciw papieżowi, za to, że nie może zmusić Rosyi, iżby zaprzestała tępić Unię (do czego bez wojny nikt jej nie zmusi); za to, że zmuszony obowiązkiem ratowania Kościoła w wielkiej części Europy, zada ból naszemu uczuciu polskiemu. W ten sposób i wilk jest syty, i koza cała: nienawiść Kościoła zaspokojona, bo dzieło podkopywania go posunięte, a wpływ na katolika łatwowernego lub lekkomyślnego nietknięty, skoro ten się nie spostrzegł, że mu się jego wiarę nieznacznie ale systematycznie wykrada. Różnice i odcienie między różnemi naszymi liberalnemi pismami, są bardzo znaczne. W Warszawie naprzykład, gdzie niedojrzała

postępowość kwitnie bujniej może, a przynajmniej liczniej niż u nas, i gdzie pisma anti-katolickie cieszą się szczególnymi względami cenzury (kiedy katolickie oczywiście nie mogą odpowiadać im swobodnie), — przezeń religii występuje śmieiej i jawniej niż u nas, w powieściach, poezjach, pismach peryodycznych i dziełach niby naukowych, niekiedy nawet w istotnie (choć nie dlatego istotnie) naukowych. Nasze pisma galicyjskie nad rozkładem Kościoła pracują także, nie wszystkie z jednaką świadomością i zaciętością, ale kiedy jedne — najniższe i obrzydliwe — robią to w sposób tak obelżywy, że pojąć nie można, dlaczego władze nie zakazają im takiego zachowania się względem papieża lub biskupa, jakie względem rabina uchodziłoby za obrazę uczuć religijnych ludności starozakonnej; to inne mądrzejsze i zręczniejsze, same niby uczuć katolickich nie obrażają, ale zachwalają i wynoszą antikatolickie dążności, czyny lub dzieła, a trzecie mniej złe i szkodliwe, ale zato też i mniej rozumne, pomagają im dzielnie i skutecznie przez to, że sądzą same i czytelników swoich utrzymują w błędnym przesądzie, iż można szanować i wyznawać wiarę, a zachowywać się obojętnie, nieufnie, niechętnie względem Kościoła. A jakże się dziwić, że świeccy nierozważnie idą na lep takiej propagandy, kiedy duchowni, księża, którzy w tych rzeczach powinni mieć i sumienia czulsze i umysły więcej oświecone, demokratycznymi jakimiś sympatjami złudzeni, trzymają, czytają, popierają (wbrew biskupim zakazom) pisma szerzące nienawiść tego Kościoła, którego oni mają być pierwszymi sługami i obrońcami.

Drugim przezeń, jest przezeń i nienawiść społecznego składu i ładu. Każdy człowiek myślący wię, a każdy miłujący swój naród czuje, że zgoda i równowaga między wszystkimi pierwiastkami składowemi społeczeństwa, jest rdzeniem i podstawą jego siły i pomyślności; że w miłości ojczyzny nie może być zawiści do żadnej z osobna części narodu. U przywódców naszego mniemanego postępu jest, a przez nich szerzy się między rzemieślnikami, między ludem, między młodzieżą, nienawiść szlachty i w ogóle wszystkich, którzy bądźto majątkiem, bądź stanowiskiem i urzędem, bądź nawet osobistą zdolnością i zasługą wzniesli się cokolwiek nad poziom mier-

ności. Wszystko to razi ich pojęcia demokratycznej równości, i wszystko dlatego systematycznie podawane jest w podejrzenie, a w szacunku i ufności ogółu podkopywane. Tymczasem rzecz jest pewna, że gdzie rozkładowy socjalizm szczerpi i krzewi społeczną nienawiść, tam patriotyzm rozumny, choćby najbardziej demokratyczny, powinien całemi siłami pracować nad tem, żeby wzmocnić, skupić, związać to wszystko, co w społeczeństwie jest i ma jakąś siłę. W naszych pismach dzieje się inaczej. Zawsze prawo, dobro, korzyść szlachty czy większej własności, odróżnia się starannie od praw korzyści lub interesu miast lub wiejskiego ludu; zawsze one wystawione są jako oddzielne a często jako sprzeczne; zawsze broni się dobra ludu i ten lud bierze się w opiekę przeciw szlachcie; zawsze odróżnia i odszczególnia się siebie od ogółu narodu, jako jego intelligencyę. Czy ta intelligencya jest istotnie rozumniejszą i lepszą od innych, w to się nie wchodzi, przyjmuje się jako rzecz daną z góry i pewną, z której wynika prosty już wniosek, że *intelligencya* jako wybór i kwiat społeczeństwa, ma prawo i powołanie za całość myśleć, stanowić i działać. I znowu jest w tej mierze różnica między pismami postępowemi w Galicyi a pod rządem rosyjskim. U tamtych nienawiść do szlachty jest o wiele jawniejsza, wyraźniejsza, sądzimy, że silniejsza i bardziej namiętna, afirmuje się częściej i otwarciej; u nas mniej słów, ale dążność tasama do ograniczenia jej wpływów, do osłabienia jej stanowiska; nie dodatnia, obywatelska, patriotyczna dążność, żeby rozwinąć i pokrzepić pierwiastek, który jest jedną z sił w polskim społeczeństwie, ale żeby go nadłamać, zwałić, doprowadzić do uschnięcia. Niedawno zjawił się całkowity, urzędownie ogłoszony program polityczny, którego duszą i zasadą jest ta właśnie dążność. A jak niebaczni duchowni popierają bez swojej wiedzy i woli dążności bezwyznaniowe, taksamo ludzie świeccy (szlachta w pierwszym rzędzie) pomagają do szerzenia nienawiści społecznych, do podcięcia nóg sobie samym, kiedy złudzeni pozornym patriotyzmem i liberalizmem (jak księża patriotyzmem i demokracją), służą tym pismom i wpływom, które pod nimi dołki kopią, a nawet ich już dość dużo i dość głębokich wykopały.

wiska i zakresu, zazdrościmy temu, który ma taki jaki nam się właśnie podoba, i zamiast czynnie, zgodnie, równym krokiem iść naprzód każdy w swoim zakresie, a przez to organicznie rozwijać i wzmacniać zasób wspólnych sił i nabytków, szarpiemy się w marnych gniewach i dąsach, targamy się w mniemanych więzach, zatruwamy się wzajemnymi zawiściami. Zdaje nam się żeśmy wielcy ludzie do większych rzeczy powołani, a tylko przez zawistne losy zmarnowani, kiedy naprawdę przez to szarpanie się bez celu i skutku psujemy się i marniejemy sami — marnujemy i psujemy nieraz więcej niż siebie.

Jest jeszcze jedno i nie najmniej złe, a w naszym publicznym życiu może najbardziej i najczęściej widoczne: przeczenie ludzi. Znowu rzecz jasna jak słońce, że im więcej w społeczeństwie zaufania do uczciwych i rozumnych, tem większa rękojmnia jedności i skuteczności działań. Ztąd obowiązek dla wszystkich takim ludziom do znaczenia i stanowiska pomagać, popierać ich jeżeli do niego doszli. U nas dzieje się wprost przeciwnie. Od lat dwudziestu pięciu nie pamiętamy prawie człowieka, któryby się był odznaczył, a nie był stał się celem pocisków i potwarzy. Potocey, Adam i Alfred, byli okrzyczani przez liberałów za oddanych rządowi serwilistów, przez konserwatystów za demagogów i socyalistów, za braci Milutynów (to ostatnie z powodu, że obstawali za gminą zbiorową). Prawda, że ledwo umarł, stał się Adam Potocki, jak później jego polityczny i osobisty przyjaciel Mann, haśletem, którem wojowało się z jego towarzyszami i pomocnikami. On był znakomitym i pełnym zasługi obywatelem, tamci zato podejrzanymi, jeżeli nie łotrami. Później *Stańczyków* ogłoszono za zdrajców Ojczyzny. Zyblikiewicz nazywał się długo *ogonem arystokracji*, a kiedy został marszałkiem, szarpano go między innymi rzeczami nawet o nadużycia krajowych funduszów (bo na swoje dwa konie postawił w dziedzińcu sejmowego budynku stajnię — nawet drewnianą). Ks. Leon Sapieha — nie chcemy już nawet wspominać, czego o tym nie pisano! Grocholski jeden uniknął osobistych napaści, dzięki temu, co było jego najsłabszą stroną, brakowi inicjatywy: ale działanie jego i Koła polskiego w Radzie państwa,

któremu przewodniczył, było podziurawione jak sito od systematycznych oskarżeń i potwarzy. Pan Dunajewski odkaź został ministrem, został celem i przedmiotem szczególnej nienawiści, którą podżegać i szerzyć było tem łatwiej, że przez podniesienie podatków narażał się każdemu, kto musiał płacić. Jego brat, Książę Biskup Krakowski, czy mamy przypominać, jak bywał rysowany w piśmiadach wystawianych za oknami sklepów tabaczych, a opisywany w pismach, które chcą niby zachowywać pozory powagi i honoru? Książdz Kalinka był nader podejrzany i o ultramontanizm, i o zdradę kraju, jak zresztą przed nim Kajsiewicz i Semenenko. Czasem dochodzi ten brzydki zwyczaj do okrucieństwa podłego i okrutnej podłości, jak naprzykład kiedy Szujskiemu już bardzo choremu posłano jakiś humorystyczny dziennik, żalujący w nader dowcipnym wierszu, że on jeszcze nie umarł. Prawda, że nie wyszedł rok od jego śmierci, a znowu tłómaczono nam i zaręczano, że nie należy Szujskiego łączyć i mieszać ze Stańczykami, bo on Stańczykiem nigdy nie był. Co zresztą sam przepowiedział, kiedy mówił: „jak ja umrę, „to ze mnie zrobią zaraz kij, żeby nim bić was pozostałych.“ Czasem znowu dochodzi ten zwyczaj do komicznej śmieszności, naprzykład kiedy się słyszy, że wszystko w kraju byłoby dobrze, gdyby nie sześciu ludzi, którymi są podobno minister Dunajewski, Kazimierz Badeni (podówczas jeszcze nie namiestnik), Ludwik Wodzicki, Koźmian, Artur Potocki i — Bobrzyński. Co za szkoda, że niema u nas prawa ostracyzmu! i jak byłoby dobrze, gdyby ich można gdzie za granice kraju wyrzucić! Ale ostatni, Bobrzyński, jest od lat kilku szczególnie umiłowanem dzieckiem, Benjaminem naszych politycznych przyjaciół; z żadnym tak nie lubią się pieścić, jak z nim. — Młody, zdolny, śmiały, ze zmysłem organizacyjnym a temperamentem politycznym, zasłużył przez te przymioty właśnie na nienawiść i zemstę tych, którym ich nie poniósł w ofierze. Zdawałoby się, że jak się zdarzy człowiek ze wszechmiar tęgi, to należałoby mu pomagać? owszem, przeciwnie! trzeba go neutralizować i paraliżować, zmniejszyć, trzymać jak się da najniżej i najdalej od znaczenia i wpływu. A więc, jeżeli zrobi wniosek w Sejmie, to

ten wniosek odrzucić, bo przyjęty mógłby mu dodać powagi; jeżeli napisze książkę, to ją przekreślić, sfalszować jego myśl, wyprowadzić sztucznie myśl jakiej nigdy nie było, i szkodzić nie już stanowisku autora, ale jego uczciwości i dobrej sławie. Na to, czy pisać artykuły a nawet książki, czy dowodzić, że autor *Historji Polskiej w zarysie* nie powinien obecnością swoją przyćmiewać godności Rady miejskiej krakowskiej (czemu wierzą i czego słuchają ludzie, którzy oskarżonej książki naturalnie nigdy nie czytali), to wszystko jedno: wszystko jest godziwe, pozwolone, owszem, wyższym obowiązkiem nakazane, bo przecież obowiązkiem jest przeczenie wszystkiego co jest, poniewieranie wszystkich, którzy są i czemś być, coś zrobić mogą.

Nie mnożymy tych przykładów. Moglibyśmy przytaczać ich więcej, ale poco? Te wystarczą, a sto i tysiąc nie wystarczyłoby na to, by złą wiarę i wolę przemienić na dobrą. Stwierdzamy tylko fakt i wskazujemy skutki, jakie z niego wyniknąć mogą. Kiedy Szujski mówił, że społeczeństwu konieczne jest starszeństwo powag moralnych, ludzi wiekiem, doświadczeniem, zdolnością i charakterem szanownych, których głos ważyłby w radzie ludu, a oko czuwało nad przypadkami, które mu grozić mogą, Szujski miał słuszość zupełną: ale do wściekłości poruszył gniew i złość takich, którzy może niejednym w swoim kraju zostać zdolają, tylko nie moralną powagą. Naturalnie! społeczeństwo, które takie powagi uznaje i na nie się ogląda, najtrudniej da się prowadzić podchlebcom i wyzyskiwaczom: trzeba więc wszelkiemi siłami pracować nad tem, żeby nikt powagi nie miał, zaprzeczać każdej jaka jest. Sposoby po temu są różne: potwarze na godnych i zdolnych, sztuczny rozgłos nadany ludziom lub dziełom pozbawionym istotnej treści, są jednym z najczęściej i skutecznie używanych. Ale po jakimś czasie okazują się jawnie skutki: panowanie małych umysłów i małych charakterów, w życiu publicznem, w literaturze, w nauce; panowanie mierności, której już żadna wyższość nie zawadza i nie ćmi: a w dalszem następstwie obniżenie umysłowego i moralnego poziomu społeczeństwa, jego godności i powagi nazewnątrz. Przykład wymowny stawia nam przed oczy Franca. Po dzielnem, świetnem, statecznem pokoleniu Guizota,

Villemaina, Kazimierza Perrier, starego księcia Broglie, Montalemberta i tylu innych we wszystkich kierunkach życia, systematyczne przeczenie wydało *progeniem vitiosiore*m ludzi roku 1848 i pierwszego Cesarstwa. Ale w tem jeszcze była jakaś myśl, jakaś siła, jakaś szlachetność popędów, i tu i owdzie zdolność do czynu: przeczesano ją więc tak długo i zawzięcie, aż ją obalono i ster losów narodu ujrzano w rękach Grévych i Wilsonów, Floquetów, Freycinetów i wszystkich innych. A na te rządy mierności rady już niema, przynajmniej nierychło. I kiedy społeczeństwo chciałoby się instynktem honoru i zachowania życia z pod nich wydobyć, osłabłe i obniżone nie może już zdobyć się na człowieka, ale zbawcę widzi w teatralnym pajacu, klin wybija klinem, mierność nową miernością; byle się otrząsnąć z republiki Wilsonów, gotowo poddać się dyktaturze Boulanger'a.

Takie są skutki przeczenia w kraju niepodległym i tak potężnym, w narodzie tak oświeconym i dzielnym, jak francuski: po Sebastopolu Sedan, po Guizocie Wilson. W kraju słabym i podległym, w społeczeństwie pozbawionem zupełnego normalnego życia, proces próchnienia i rozkładu musiały postępować szybciej.

Ale jakież cel tej ustawicznej, systematycznej negacyi? Czy może chodzi o zmianę polityki, austriackiej naprzykład na rosyjską? albo chociażby o zmianę systemu w Austrii? Woleliby zapewne gabinet radykalny i bezwyznaniowy, niż w gabinecie hr. Taaffego (a zwłaszcza pana Dunajewskiego): ale takiego określonego, praktycznego celu nie mają. Mają za to głębszy, zasadniczy: sztuka dla sztuki, zasada dla zasady, negacya dla negacyi, a za tem dopiero w uroczej perspektywie ukazuje się cel praktyczny i ostateczny, zaprowadzenia nad społeczeństwem otumanionem, i ujęcia go w swoje ręce. Cel ten jest, żeby za kraj przemawiało, o nim radziło i nim rządziło nie to, co prawnie do tego jest powołaniem, a działa jawnie i otwarcie — ale coś innego, pobocznego, pokątnego. Żeby nie Sejm uchodził w sumieniu i przekonaniu ludności za jej reprezentację, ale żeby prócz niego, po za nim i nad nim był jakiś nieuprawniony dozór wyższy i powaga wyższa, słowem uzurpacya; żeby ukonstytuowane na mocy ustawy Rady miejskie, nie były jedyną i zupełną re-

prezentacją miast, ale żeby oprócz nich była jakaś inna; żeby obok wszystkiego co jest, a jawne i na ustawach oparte, było coś drugiego, równoległego, przeczącego; żeby życie społeczne i polityczne nie płynęło jednym otwartym i prostym prądem i korytem, ale żeby mu otwierać jakieś łożyska poboczne, niyto lepsze, silniejsze, prawdziwsze. Słowem o to chodzi, żeby osłabić jawną legalną władzę, a mieć jakąś swoją; żeby społeczeństwa nie dopuścić do uznania tamtej i normalnego harmonijnego z nią działania, a trzymać je w zależności i podległości od siebie za pomocą sztucznej agitacji i mniej lub więcej zręcznie upozorowanej organizacji. Chodzi o negację władzy i prawdziwego politycznego życia, a o afirmację starego ukochanego *Liberum Conspiro*. Czy na to może, żeby wywołać jakie powstanie? Nie sądzimy. Dawno już, w ostatnim swoim piśmie politycznej treści, w *Liście otwartym do L. Bilińskiego*, 1882, odpowiedział na to pytanie Szujski: „tyle honoru im nie imputujemy, iżby do „tak ryzykownych przedsięwzięć mieli się posiągnąć.“ Ale chcą trzymać społeczeństwo w zależności od siebie: a dlatego chcą, żeby nie stało się nigdy świadomem siebie, wolnym, samodzielnym i zdrowym społeczeństwem. Zdrowem zaś, świadomem siebie i samodzielnym, nie zdoła łatwo stać się takie, które karmić się będzie przeczeniem, podejrzeniem, nieufnością i zawiścią. Niech nikt nikomu nie wierzy i nikt nikogo nie szanuje; niech każdy niższy z zawiścią patrzy na wyższego, każdy podwładny widzi wroga w przełożonym; niech praktykant niecierpi komisarza, komisarz starosty, starosta namiestnika; niech uczeń nie wierzy profesorowi, wikary proboszczowi, proboszcz biskupowi; niech mieszczanin i chłop widzi przeciwnika w szlacheicu, a uboższy wroga w bogatszym, a wtedy każdy z nich uwierzy łatwo temu, kto mu z boku coś podszeplnie. To jest ostateczny cel systematycznego przeczenia; skutkiem zaś jego, gdyby miało skutki swoje wydać, byłaby anarchia i rozkład społeczeństwa. Skutki zaś częściowe, niezupełne, byłyby zawsze praktycznie bardzo szkodliwe; opiszemy je słowami Szujskiego, wyjętymi z tegosamego tylko co przytoczonego *Listu*: „Byliśmy i jesteśmy przekonani, że wszelkie przeprowadze- „nie przez nich jakiejś tak zwanej organizacji, narazi kraj

„na tysiące głupstw i nieprzewidzianych awantur, które jeżeli
 „nie uniemożliwią, to utrudnią niezmiernie wszelkie działanie
 „i dla sprawy narodowej i dla prowincyi, a przedewszyst-
 „kiem przeszkadzać będą naturalnemu i normalnemu rozwo-
 „jowi pracy narodowej, zarażając kraj nieustanną polityczną
 „gorączką.“

II.

Opisane wyżej usiłowania wzmagały się stopniowo w ciągu tych ostatnich lat sześciu. Rozumié się samo przez się, że nigdy nie były ustały, ani ze swojej drogi nie zeszły; ale kiedy w lat zaledwo kilka po klęskach przez nie spowodowanych w r. 1863, zaczęły nanowo wydobywać się na wierzch, próba się nie udała. Społeczeństwo było pod świeżem wrażeniem i wspomnieniem, i w walce podówczas stoczonych oświadczyło się w ogromnej większości przeciw polityce reprezentowanej podówczas przez krakowski *Kraj* i parę dzienników lwowskich. Nas nazwano Stańczykami i ogłoszono zdrajcami ojczyzny (oprócz satysfakcyi, przynosiło to zawsze jakiś praktyczny pożytek) — ale uznano, że roztropniej będzie przyciechnąć i zahamować, duch statku i ład u był za silny, walka z nim nie obiecywała skutku.

Czekano zatem cierpliwie. Czy przebrało się w końcu cierpliwości, czy jakie nam nieznanne powody nakazały próbować nanowo, dość, że pierwsze widoczne oznaki ponownych energiczniejszych usiłowań rozkładowych, zjawyły się wkrótce po podróży Cesarza do Galicyi w r. 1880, i po równoczesnem wstąpieniu pana Dunajewskiego do rządu. Czy jakie niedobitki rządów narodowych, kryjące się gdzieś w Szwajcaryi lub Francyi, uczuły się zagrożonemi w swoich prawach przez podróż cesarską? czy może tryumf statku i ład stał się już nie do zniesienia wielkim, kiedy dochodził do praktycznego wyrazu, a jeden z ludzi wyobrażających najdzielniej ład i statek, wchodził do rządu? dość, że wkrótce potem zaczęła się stopniowa, systematyczna, coraz czynniejsza, a poniekąd nie bezskuteczna podjazdowa wojna ze statkiem i ładem w społeczeństwie. Nie przypuszczamy —

jak sądzi wielu — izby rozbitcie dawnego klubu reformy było z planu przedsięwziętym pierwszym krokiem na takiej drodze, ale to pewna, że posłużyło wiele tym dążnościom, dostarczyło im pożądaną sposobność. Stronnictwo sejmowe nieliczne, ale dobrze złożone i śmiało we wskazywaniu i wnoszeniu reform istotnych (przedewszystkiem społecznych), rozpadło się pod bardzo nieusprawiedliwionym zarzutem zdradliwego zamachu na autonomię kraju, którą właśnie zamierzało uczynić rzeczywistszą, żywotniejszą, niż jest. Została się garstka ludzi liczebnie za słaba, żeby w Sejmie mogła już występować z inicjatywą, osłabiona w opinii kraju i w swoim z nim związku, skoro wypowiedzieli jej przymierze tacy, na których ludność kraju, a przynajmniej szlachta, patrzyła z ufnością i sympatją. Jeżeli Jaworski, Męciński, Eustachy Sanguszko, a cóż dopiero bliżcy osobiści przyjaciele, jak Baum, Cezar Haller, Edward Jędrzejowicz, odłączają się od takich, jak Wodziczcy, Paszkowski, Szujski, Jan Stadnicki i tym podobni, to nie może być inaczej, tylko że ci ostatni coś złego zrobili, albo zrobić chcieli! Jądro tej sejmowej i krajowej siły, która była i zachowawczą i wstępnie naprzód idącą, było rozbite; zatem chwila była sposobna, żeby rozbitych ścigać i znosić.

W tej też chwili powstał w Krakowie dziennik nazywany *Reformą*, a po jakimś czasie i przejściu z założycielem, *Nową Reformą*. Co i jak miała reformować, i po czem poznać istotę lub prawdziwość jej reformowania, nie umiemy poznać ani powiedzieć. Ale ogłosiła się organem demokratycznym, o demokracji pawiła dużo, a zręczniejszą była od swoich kolegów dzienników lwowskich. Jak już powiedzieliśmy wyżej, nie może być inaczej, tylko że kto o ludzie i demokracji dużo mówi, ten musi podobać się tym, od których wiele doświadczenia i zastanowienia nigdy wymagać nie można. Podobała się też i *Reforma*: podobała się, bo wedle znanej odwiecznej recepty wyrzekła na *serwilizm*, na *koteryjne* cele i widoki, przybierała postawę orędowniczki i opiekunki praw ludu i narodu, lekceważonych, zaniedbywanych (dawało się do poznania *przeszachrowywanych*), przez tak zwaną *koteryę rządzącą!* Kogo przez nią rozumiano? Faktycznie należała do takiej koteryi (!) większość Sejmu

i Koła polskiego w Wiedniu z Grocholskim na czele, namiestnik Alfred Potocki, minister Dunajewski, marszałek Zyblikiewicz, zatem nie *koterya* to była, tylko zbiór najlepszych i najistotniejszych sił w kraju. Nie wymieniając nikogo, podkopywało się stanowisko wszystkich: a wojnę otwartą prowadziło się tylko ze Stańczykami. W dość krótkim czasie stała się *Reforma* punktem środkowym, około którego osadzały się różne niezdrowe pierwiastki. Książd, za złe prowadzenie się źle widziany przez biskupa, stawał się ofiarą swego patriotyzmu, a prześladowań niecej *rządzącej koteryi*; uczeń ukarany przez władzę szkolną, stawał się ofiarą, stawał się bohaterem, nadzieją narodu, filarem jego przyszłości, kiedy w szumnych mowach stawiał mniej lub więcej zamaskowane polityczne programy; skrzywdzony gieniusz, który był tylko niższym urzędnikiem albo profesorem szkół średnich, był znowu ofiarą partyi rządzącej, bo po słuszności należałoby mu być czemś więcej. Klientela i popularność rosły, a z nimi śmiałość i zakres agitacyi. Kraków, dobrze i silnie broniony oddawna, od roku 1848 jeszcze, rozumiejszy od wielu miast dlatego może że mały i spokojny, był solą w oku i kością w gardle dla *postępowych* jako *zacořany* i *wsteczny*; stał się też punktem, na który zwróciły się skupione wyteżone usiłowania naszych *negacyj*; należało rozpalić w nim ducha gazoznego przez Stańczyków! Okoliczności pomagały do tego same i szczęście naszych *postępowych jeneralów* było istotnie rzadkiem, w mniejszym zakresie i na mniejszej scenie, ale prawie tak rzadkie, jak szczęście Bismarka. Przyjazne wiatry dęły w żagle i pchały łódkę tak gładko, jak niegdyś łódź z Cezarem i jego fortuną. Alfred Potocki ustąpił z namiestnictwa, zachwianem zdrowiem zmuszony; to pierwsze pomyślne a niespodziewane wydarzenie. Przy całej łagodności natury i postępowania, miał on stanowczość w przekonaniach, i zmysł bardzo czujny na wszystko co załatywało rżadem w rżadzie. Rząd wiedeński zaś trzymał się hasła *über den Parteyen*, które było na razie może koniecznem, ale nie bez pewnego dodatku i zastrzeżenia. Korona w państwie konstytucyjnem powinna istotnie stać nad stronnictwami, ale rząd nie może stać na wszystkich stronnictwach zarówno, ale na najpewniejszych tylko. Stary król belgijski, Leopold I,

miał (*si fabula vera*) dawać synowi taką naukę: „masz w Belgii „dwa stronnictwa: katolickie i liberalne; trzymaj się zawsze „liberałów, bo katolicy i tak nigdy cię nie zdradzą.“ Rząd austriacki miał w Galicyi dwa odcienia jednego w gruncie stronnictwa, z których o jednym mógł być pewien, że mu położenia nie zamąci i nie utrudni, kiedy drugie, więcej oglądające się na bieżącą dziennikarską opinię, mogło przez to krajowi jak rządowi gotować niewielkie zapewne, ale nieprzewidziane i niepotrzebne zawikłania i szkody. Już przy wyborach roku 1883, zjawiły się niektóre charakterystyczne oznaki takiej możliwości, mianowicie usiłowania do złożenia nowego stronnictwa. Że zaś stronnictwo to, w podstawnych swoich zasadach i widokach nie mogło różnić się istotnie od swego mniemanego przeciwnika, a różnić się od niego czemś musiało, skoro miał być stronnictwem osobnem i innem: przeto musiało tych różnic szukać, wytwarzać je cokolwiek sztucznie, bo one nie tworzyły się naturalnie same z siebie. Takie zaś tworzenie i szukanie kierunków, choćby bliskich ale odmiennych, może łatwo doprowadzić ludzi nieznacznie do znacznego zбочenia od kierunku, który dla wszystkich był wspólny i dla wszystkich konieczny. Było zatem rzeczą wskazaną i potrzebną zabezpieczyć ten kierunek wspólny i konieczny, zabezpieczyć politykę Koła polskiego w Wiedniu i jego stosunek do gabinetu, od możliwych zmian i zбочeń. Byłoby tem potrzebniejsze, że stanowisko Koła w Wiedniu zmieniło się zasadniczo przez przyjsie do władzy hr. Taaffeego. Z opozycyi opartej na zasadzie równego prawa dla wszystkich, Koło musiało przejść do roli nierównie trudniejszej: musiało stać się częścią większości popierającej rząd, który jego zasadę właśnie wywieszał i w znacznej części urzeczywistniał. Rola zaś stronnictwa rządowego jest trudniejszą od roli opozycyi, nie tylko dlatego, że trudniej jest działać niż mówić, ale dlatego zwłaszcza, że w większości różnorodnej, jak większość parlamentu austriackiego, żadna część swojego programu w zupełności dopiąć nie może; żaden rząd nie może spełnić wszystkich jej żądań, ale każda z tych części musi nieraz robić ofiarę ze swoich interesów i dążeń, żeby nie wejść w spór i z interesem i dążnością jakiejś części innej, lub też całości państwa. Ta konieczność

dostarcza naturalnie krajowej opozycji sposobności i materiału do coraz nowych oskarżeń o lekceważenie dobra kraju, o zbytnią względem rządu uległość, o własne widoki wreszcie. Gdy więc odzywać się zaczęły takie hasła czy programy niby opozycyjne, a nieokreślone, niejasne, nie dające zrozumieć czego chcą i co myślą, przeto do skrzywienia i nadużycia łatwe, mogła a raczej musiała zrodzić się naturalna obawa, by dotychczasowa polityka Koła polskiego nie została ze swego toru na jakiś boczny zepchniętą.

Ta obawa spowodowała połączenie resztek dawnego klubu reformy, z Podolskim klubem Grocholskiego, w klub jeden, który był Prawicą ostatniego Sejmu. Że to połączenie było potrzebne i miało swoje dobre skutki, nie potrzeba dowodzić. Stworzyło ono w Sejmie zastęp liczny i pewny, nie oglądający się na krzyki negacyi, świadomy swego kierunku i jemu wierny, zatarło terytoryalne różnice między podolskimi i krakowskimi posłami; zbliżyło ich nie tylko mechanicznie w jednym klubie, ale moralnie w lepszej znajomości wzajemnej i w wielu zapatrywaniach. Spełniła zatem Prawica swoje zadanie i odpowiedziała potrzebie; ale miała z urodzenia pewne słabe strony, które się obróciły znowu na korzyść przeciwników. Posłowie krakowscy mieli za swoje główne zadanie w Sejmie dążyć do zmian i reform, a przede wszystkim do gminnej; pojmowali ją zaś tak zasadniczo inaczej od Grocholskiego i jego zastępu, że porozumienie w tej mierze nie było możebnem, a zjednoczenie tych żywiołów było możebnem jedynie kosztem wyrzeczenia się na lat sześć wszelkiej w tych sprawach inicjatywy. Względ chwilowo ważniejszy musiał wziąć górę nad drugim doniosłym, ale obecnie mniej nagłym; jednak rzecz jest jasna, że stronnictwo, które na cały czas sejmowej kadencji przyjmuje stanowisko odporne tylko i bierne, przeciwnikowi zostawia szerokie pole i wszelką łatwość działania, a swój własny wpływ ogranicza i ścieśnia, nawet skazuje się samo w dalszem następstwie na opieszałość, bezwładność, brak żywotności i zaufanie we własne siły, przez brak czynności, brak ćwiczenia tych sił i wywierania ich nazewnatrz.

Z tej postawy Prawicy, przeciwnicy mogli byli łatwo skorzystać. Dlaczego nie skorzystali? Lewica dlatego za-

pewne, że nie była liczebnie dość silną; Centrum dlatego, że zajęte głównie szukaniem i określaniem różnic pomiędzy sobą a Prawicą, w ostatecznym rezultacie dowiodło tylko wszem wobec, że w naszym kraju i Sejmie, może być miejsce na politykę przeczenia i politykę organiczną, ale niema miejsca na dwa różne programy tej polityki organicznej.

Niemniej ten rozdział na różne kluby i niby stronnictwa, te rozlegające się po kraju echa ich haseł i dyskusyi, jak Sejmowi wiele czasu zmarnowały i dodatnią pracę utrudniały, tak służyły wybornie w kraju polityce przeczenia i rozkładu, przez to, że utrzymywały go w rozdrażnieniu i podejrliwości, w niechęciach, nieufnościach, w jakimś niezdrowym niepokoju bez celu, bez powodu; — a z tym skutkiem, że wielu szło na lep przeczenia i stawało się łatwownią zdobyczą przeczących.

Nie tu koniec sprzyjających warunków. Zdaje się, że to nawet co od woli ludzkiej najmniej zawisło, choroba i śmierć, weszło w przymierze z zamierzoną *reformą*. Szujski, ten najgorętszy płomień naszego publicznego ducha i światło naszego publicznego rozumu, zgasł przed otwarciem ostatniej kadencji sejmowej. Baum, regulator roztropny i sędzia prawy naszych popędów i kroków, zeszedł z nim prawie razem. Grocholski, ledwo wziął ster połączonej Prawicy, powalił się pod ciosem choroby i pozbawił nas tej powagi, którą miała w sobie jego zasługa i jego wola. Zastąpił go Alfred Potocki, ale i ten wkrótce zasłabł, i czasem tylko, dorywczwo mógł skupiać, wyobrażać, prowadzić nasz zastęp. Ubył Paszkowski, któremu sumienie najczujniejsze, rozsądek najpewniejszy, charakter najstateczniejszy, nadawały stanowisko jedno z najpoważniejszych w Sejmie; a zaraz po nim Henryk Wodzicki przez lat z górą dwadzieścia jeden pierwszych w Sejmie, przez trzydzieści jeden z pierwszych w kraju. Niema na świecie stronnictwa, któremu ubytek tyłu i takich głów naraz mógłby nie dać się we znaki. A na tem jeszcze nie dość. Umarł ksiądz Kalinka, który do Sejmu nie należał, ale był jedną z najtęższych głów politycznych, jedną z najmędrzych rad politycznych w Polsce; Zyblikiewicz z natury i przekonania wróg zacięty i poskromiciel surowy wszystkiego co negacyjne, odśrodkowe, rozkładowe; wreszcie umarł

i Grocholski, a teraz przed kilkoma dniami Alfred Potocki! Dla tych co niecierpią i uczą niecierpieć powag w społeczeństwie, co za szczęście niespodziane i szalone, ubytek tyłu zasług, tyłu rozumów, tyłu cnót, które tych ludzi otaczały istotną wielką w kraju powagą.

A kiedy oni marli tak jeden za drugim, same okoliczności sprzyjały robocie rozkładowej.

Taką okolicznością był niezaprzeczenie, (dziś po latach i śmierciach, można mówić otwarcie o rzeczy powszechnie wiadomej), brak dobrego porozumienia między ówczesnym Marszałkiem krajowym a ówczesnym Namiestnikiem, co ani jednej, ani drugiej władzy, ani społeczeństwu na dobre wychodzić nie mogło. O ileż mniej dopiero ta dwoistość kierunku, która czuć się dawała w samym rządzie centralnym, w gabinecie, i z niego dwoma różnemi prądami sphywała na władze zależne, na grupy posłów, na kraj i społeczeństwo! Podwładny urzędnik nieraz miał prawo myśleć, że to co mu jego przełożony poleca, to jest osobistem zdaniem czy zachcieniem tego przełożonego, ale nie myślą i zamiarem Rządu, jako takiego; jakże się dziwić, że nieraz prosty obywatel nie wiedział jaka jest naprawdę ta myśl i ten zamiar, albo że wyrozumieć ich nie umiał.

Do tego wszystkiego dopiero przyszły okoliczności dla naszej opozycyi i negacyi najsposobniejsze, najpożądańsze, najłatwiejsze do wyzyskania: pana Dunajewskiego skarbowe reformy. Minister usiłujący skarb Państwa doprowadzić do równowagi, musiał podnosić podatki; zwiększenie podatków, rzecz dla każdego dotkliwa, stawała się prawdziwie groźną dla kraju ubógiego i zadłużonego, którego główne źródło dochodu gorzelnictwo i nafta, miały być obciążone podatkiem nierównie wyższym. Nic też dziwnego, że pan Minister skarbu stał się naraz celem pocisków wyrachowanych, to znowu bezmyślnych. Na szczęście, nie potrzebujemy go przed nimi stawiać; stanął bowiem tak, że go one doścignąć nie mogły.

Ile krajowi i narodowi zależy na tem, by Państwo miało siłę obronną i bezpieczeństwo, których bez pieniędzy mieć nie może, to rozumiemy wszyscy; zatem musimy rozumieć i to, że płacąc więcej, płacimy dla siebie także. A i o tem zapominać nie byłoby słusznie, że z milionów płaconych

na cele obrony Państwa, część znaczna wydawaną bywa w Galicyi, i jej ludności, jej krajowemu gospodarstwu przynosi pożytek. W szczególności tych spraw finansowych wdawać się nie tu miejsce: przypominamy tylko, że w sprawie nafty, Minister skarbu wzięty we dwa ognie, między niesłuszne ale nieprzełamane *non volumus* węgierskiego egoizmu tak przemożnego w Państwie, a *non possumus* producentów galicyjskich, zdołał jednak ów węgierski upór o tyle przełamać, że się do warunków przez Koło Polskie stawianych przecież nachylił. W sprawie podatku gruntowego, groziła nam najcięższa krzywda, pochodząca głównie ztąd, że poprzednie oszacowania przykładały tęsamą miarę do wartości naszej ziemi, co do ziemi w innych bogatszych krajach. To zrozumiał i uczuł Minister Dunajewski, i w ostatniej jeszcze chwili złamał opór centralistycznej biurokracyi, i usunął ile tylko mógł niesprawiedliwości, które bez niego byłyby na kraju zaciężyły nierównie bardziej niż podatek od nafty i spirytusu. W sprawie podatku gorzelnianego wreszcie, widzimy i słyszemy dziś właściciele gorzeln przynajmniej otwarcie, że gdyby wyższa cena wódki (która w tym roku jest nienaturalnie niską z powodu nagromadzonych po tańszej cenie zapasów przeszłorocznych, a może także z powodu źle w Węgrzech wykonywanej kontroli), to zysk mieliby z gorzeln swoich nie gorszy, raczej lepszy, niż przy dawnym o tyle niższym podatku.

Ale nie o to nam tu chodzi co robił Minister skarbu, tylko o to, cośmy robili my wobec jego finansowych wniosków. Żeśmy się chcieli bronić wszelkimi siłami od podniesienia ciężarów, to pojąć można. Ale że nie zawsze umieliśmy należycie rozpoznać istotną doniosłość i rzeczywiste następstwa reformy podatkowej, następstwa nie już polityczne, ale ekonomiczne, gospodarskie, tego także w zupełności wyprzec się nie możemy. A prócz tego, bronić się wszelkimi siłami, to nie znaczy wszelkimi sposobami, a sposoby użyte czy były wszystkie roztropne i wiodące do celu? Szczęście, że ci, którzy byli legalnie do tej obrony powołani, jaśniej rzecz rozumieli, i licząc się z daną koniecznością, umieli przecież znaleźć odpowiednie wyjście.

Ale te wszystkie sprawy były znowu nieocenioną nie-

przebraną żyłą złotą, z której nasza partya postępowa była zdawkową monetę agitacyi i oskarżeń. „*Serwilizm* jednych“, „*bezwzględność* drugich“, „*niedbałość* wszystkich“ o *dobro kraju*, rozległy się z wielkim hałasem po dziennikach, i rozdrażnionych już samemi sprawami podatkowemi utrzymywały łatwo w coraz większem naprężeniu, od którego do rozprzeżenia droga zwykle niedaleka.

Korzystała więc polityka przeczenia z bieżących okoliczności i spraw politycznych i administracyjnych, a na domiar szczęścia nasunęły jej się jeszcze sprawy religijne, środek do pochwylenia ogółu za uczucie narodowe, ze szkodą uczuć katolickich tak ściśle z polskimi złączonych. Względy, które Papieża zmusiły do wielkiego dla Prusaków w Wielkopolsce ustępstwa, osobista zacność nowego Arcybiskupa, korzyść jaką Wielkopolska bądźco bądź z tej nominacyi odnosiła, bo wychodziła ze stanu rozprzeżenia Kościoła, to wszystko było wiadome i zrozumiane, ale rzecz niemniej była bolesna. Żeśmy ją tak zniesli po męsku, z wytrwałością i spokojem, to dowodzi, żeśmy w mocy nad sobą w politycznym rozumie, i w świadomości katolickiej postąpili wiele. Ale dla nieprzyjaciół Kościoła a samozwańczych obrońców narodu, sposobność była dobra, żeby między jednym a drugim szerzyć rozdrażnienie, choć na razie nieśmiało jeszcze i ostrożnie.

To była jedna sprawa służąca do podkopywania uczuć i przekonań katolickich, z pozorną ich obroną właśnie; drugą było prześladowanie Unii na Podlasiu. Gwałty, okrucieństwa, infamie, na które niema nazwy w ludzkim języku, a oburza się wszystko w ludzkiej naturze: tymczasem Papież, Ojciec Wiernych patrzy na to i mileczy! Że krucjaty ogłosić nie może, bo niktby za jego głosem nie poszedł; że nie może nawet upominać się i skarżyć, grozić sądem Bożym, a choćby pocichu prosić, bo każde jego słowo sprowadziłoby tylko gorszą wściekłość i sroższe prześladowanie, jak to istotnie się stało po przyjęciu deputacyi Unitów, to się wie doskonale: ale się tego nie mówi, tylko się lud, i wiarę, i krew męczeńską bierze niby w opiekę przed tym niby niedbałym pasterzem! na to by owce z owczarni wyprowadzić i bezbożnym wilkom oddać łatwowierne pod opiekę. Cóż dopiero, kiedy

przed rokiem rozesała się wieść o układach Stolicy Apostolskiej z rządem rosyjskim, na podstawie niby wprowadzenia języka rosyjskiego do katolickich kościołów i nabożeństw dodatkowych. Wieść miała takie ludzające pozory, zdawała się pochodzić ze źródeł tak pewnych, że w pierwszej chwili zaniepokoiła wszystkich. Ale też jak zrzęcznie wyzyskać ją umieli ci, co przeczą wszystko, ale nie z taką nienawiścią jak wiarę i Kościół, to pamiętamy z niedawnych dziejów Pielgrzymki do Rzymu na Jubileusz Leona XIII. Kiedy w Krakowie słyszało się głosy oburzenia ze strony ludzi nawet godnych i myślących, to *Reformy* włoskie odrzucały polskim jak piłkę kłamstwa i obelgi na Papieża, a różne polskie reptilia pełzały pośród włościan i małych mieszczan polskich w Rzymie, ucząc ich, jak dawny Papież był dla Polaków łaskawym, prawdziwym ojcem, a dzisiejszy obojętnym twardym ojezmem! Kiedy dzień audyencyi polskiej, z powodu zajęć i zdrowia Papieża musiał być odłożonym, żałowało się tych nieszczęśliwych, że tyle trudu i kosztu podjęli na darmo, bo Papież ich nie przyjmie! Łudzą ich tylko i z dnia na dzień spychają, a audyencyę jeżeli wyznaczą, to z urąganiem i pogardą na dzień jakiś po terminie ich wyjazdu! Kto zaś temu winien? Nikt, tylko niecna „rządząca koterya“. Ludzie zupełnie rozumni i oświeceni mówili, że Biskup Krakowski i Artur Potocki pracowali, intrygowali nad tem, żeby osobnej audyencyi polskiej nie było! Cóż dopiero myśleć mogli i czemu mogli wierzyć ciemni?

Przeszło to wszystko, prawda wyszła na wierzch jak oliwa i te potwarze musiały uciechnąć. Ale wszystkie razem wywarły i wywierają swój wpływ i skutek: spustoszenie religijne w sercach, jeszcze nie ludu mamy nadzieję, ale pomiędzy tak zwaną intelligencyą i młodzieżą. Połączone usiłowania galicyjskich *Kuryerów*, *Reform* i *Dyabłów*, warszawskich *Prawd*(!) i *Przeglądów Tygodniowych*, Petersburskiego *Kraju*, poparte przez takie same usiłowanie znacznej części piśmiennictwa, belletrystyki, poezyi, książek naukowych, nie mogły zostać bez skutku, i ze wszystkich nieznośnych powag najnienawistniejsza, bo największa i pierwsza, powaga Kościoła, jest w sumieniach i przekonaniach wielu, zwłaszcza młodych, podkopana i zachwiana. Jakiem będzie,

co zrobi to nowe pokolenie Polaków w tem przeczeniu wzrosłe i wychowane? Mamy nadzieję, że Bóg nie dopuści iżby ten zasiew wydał cały swój plon, ale logicznie plon musiałby być takim, że rola uprawiona pod bezwyznaniowość i ateizm za pomocą przeczenia katolickiej wiary i Kościoła, w drugim polu zrodziłaby prawosławie.

Rozkład społeczny przez nieufność i niechęć wszystkich przeciwko wszystkim, rozkład religijny przez nienawiść Kościoła, anarchia polityczna przez przekręcanie spraw a podkopywanie władz i ludzi, a wszystko naturalnie pod maską patriotyzmu i postępu, oto do czego prowadzi polityka przeczenia. I do jednego skutku jeszcze: do tego, żeby młodych psuć pochlebstwem lub fałszem, nie dać im wyrósć na pokolenie zdrowe, jędrne, zdolne czynnie żyć i rozumnie działać na pożytek swojej sprawy. Młody chłopiec który szanuje rodziców, ich nauki, słowa i rozkazy, który rośnie w uczuciu i przekonaniu że jego przełożony czy nauczyciel chce jego dobra; który wie że młodość jest porą wychowania i przysposobienia się, a wiek dojrzały dopiero porą działania: taki młody chłopiec wyrośnie prosto, nie skrzywiony na duszy i umyśle, i nie da się podchwycić za lepsze ani za gorsze swoje uczucia, i poprowadzić gdzie zecheą przebieglejsi od niego. Ale jeżeli uda się wmówić w niego, że przesądem jest wiara, której go matka uczyła a on sam śmiesznym jeżeli się z niej nie śmieje — że wszelka zwierzchność nad nim jest od niego głępszą a do tego przewrotną, pełną złej woli względem niego i względem kraju; że jest prócz tego jego krzywdą, bo ogranicza jego wolność osobistą; że podcina jego skrzydła a gasi jego najszlachetniejsze uczucia, bo żąda żeby robił to, co jest dziś jego pierwszym obowiązkiem; — jeżeli się w niego wmówi, że on powinien nie tylko swoją ojczyznę i sprawę kochać, nie tylko o niej myśleć, ale że ma prawo i obowiązek przy każdej sposobności ogłaszać co myśli i głos w radzie o niej podnosić; — jeżeli mu się wmówi (a to dopiero łatwo!) że on mędrzy od starszych, wtedy zepsuje się go zawczasu, podleje się latoróśl kwasem i trucizną zamiast zdrowych soków żywotnych, i młodzieniec wbity w pychę i zarozumiałość, próżny a zawistny, w sobie jedynie zakochany choć myśli że kocha ludzi i ojczyznę, często zepsuty, częściej zmarno-

wany, zawsze w niezgodzie ze światem, stanie się doskonałym materiałem i narzędziem dla ukrytych jakichś władz i celów: — ale dla narodu i jego przyszłości człowiekiem bez treści i wartości, purchawką wydetą brzydkim kurzem próżności, albo jadowitym grzybem, a nie czerstwym, jędrnym owocem, którego i pozór piękny, i smak ożywczy, i ziarno zdrowe a szlachetne.

A czyżby takich znaleźć i w ten sposób wychować ich nie można? Między młodymi jak między starszymi, lub jeszcze łatwiej, znaleźć niedoświadczonych, łatwowiernych, a skłonnych do zarozumiałości. Takich się tedy upatruje, wyszukuje między ogółem młodzieży, i choduje na przyszłych *generatów*. Uczy się ich, że oni są nadzieją ojczyzny, a widomą głową i reprezentacją młodzieży; uczy się, że oni, z otoczeniem pewnej liczby kolegów, są młodzieżą całą: że mają prawo i obowiązek za nią przemawiać, występować i niby działać. Że tak nie jest, że z młodzieży uniwersyteckiej mała część tylko w ten sposób chce występować i postępować, to nie szkodzi, owszem, to tem lepiej: bo już zawczasu włożą się młodzi ludzie do udawania czegoś czem nie są, do narzucania się drugim, do teroryzowania i do uzurpacyi.

Takiego psucia młodych, takiego podeinania samych korzeni drzewa przyszłości, takiej herodowej prawdziwie rzezi, nie niemowląt, ale niewinnych i dobrych, stają się winnemi te pisma warszawskie i nasze, które młodzież uczą niewierzyć w Boga i niewierzyć ludziom, które w niej zaszczipiają zazdrość — najbrzydszą z ludzkich wad — pod formą niby miłości ludu nienawiść bogatszych: które zaszczipiają pychę — najpierwszą, najniebezpieczniejszą z ludzkich wad — pod formą miłości ojczyzny i obowiązku tej miłości. Oszukańcy i zwodziciele, postępują z młodymi tak, jak handlarz z murzynem, kiedy go błyskotkami ęci i ludzi, a ze złudzonego robi sobie niewolnika, narzędzie. A cóż łatwiejszego, jak mówiąc o postępie, o szczęściu ludzi i ludów, otworzyć sobie przystęp do młodego serca, które bywa zwykle szlachetnych popędów pełne? co łatwiejszego, jak umysł niedoświadczony oszukać i wpoić mu mniemanie że mądrym być nie zdoła, jeżeli wiernym zostanie?

Pod tym względem doszliśmy tu — a dopieroż w Królestwie, gdzie rosyjska szkoła i rząd troskliwie ten rodzaj postępu pielęgnuje i szerzy — do skutków bardzo smutnych.

Że one mogły być jeszcze gorsze niż są, że stosunkowo jeszcze bardzo mała liczba otumanić się dała, a ogromna większość zapowiada na przyszłość tęgich i rzetelnych żołnierzy swojej sprawy, a nie *generałów* własnego autoramentu, to dzięki Bogu prawda i wielkie szczęście. Ale nie mniej żał nam bardzo tych uwiedzionych i nadpsutych, którzy mogli także wyjść na dzielnych i godnych ludzi, a po tej edukacyi Bóg wie czy na takich wyjdą. Bo jakże to odbywało się to niby postępowe i patriotyczne ich wychowanie na przyszłych obywateli? Kiedy dawali nauki lub przytyki starszym, klaskało się im na zebraniach a pisało szumne pochwały po dziennikach, winszując, że dają znaki życia; kiedy sobie urządzali niewinne i dobre, ale oczywiście nie nie znaczące wycieczki, przypisywało się tym wycieczkom polityczną wagę; kiedy się odzywali z bezwyznaniowemi a nawet socyalnemi hasłami, chwaliło się ich jeszcze, bo tym hasłom towarzyszyła niegrzeczność i brak uszanowania względem starszych i przełożonych. Wkładało się ich przytem do omijania przepisów lub do otwartego przekraczania formalnych zakazów, bo to oczywiście w ich wychowaniu punkt bardzo ważny, to wprawa w praktycznem przeczeniu, i w tej niekarności, która jest cechą i powinnością niezależnego człowieka, dobrego obywatela. Skłoniono ich żeby w pięćdziesiątą rocznicę zawiązania emigracyjnego Towarzystwa demokratycznego, podali adres do jednego z jego nie założycieli, ale dziś żyjących epigonów — (znać że Towarzystwo to jeszcze żyje). Adres ten, wstrzymany zakazem rektora, posłany nie był, (albo jeżeli był, to ukradkiem, krytym sztychem); ale fakt jest niemniej ciekawy. Ta młodzież nie zastanowiła się, i może nie wiedziała, że Towarzystwo to ma połowę winy w klęsce i sromocie roku 1846, i mogła mniemać, że dobrem musiało być Towarzystwo, które się *demokratykiem* nazywało. Ale ci którzy ów adres wywołali, wiedzieli to dobrze; nie chcemy posądzać, że rzeź roku 1846 uważają za szczęśliwą i dobrą dla tego że była rzezią szlachty: ale nie możemy niewidzieć, że chcieli adhezji młodzieży do tajnych związków, mileżącego wyznania z jej

strony, że takie związki za dobre, takie rządy za swoje uważa. O to chodziło, do tego prowadzono ich podchlebstwem, odwożeniem od dzisiejszego zadania i obowiązku, uczeniem, że mają rwać się do spraw i swój właściwy zakres przekraczać (zawsze pod godłem i formą niby nauki i pracy). Ale z tego systematycznego uwodzenia młodzieży skorzystali inni, mędrsi uwodziciele. Duch anti-społeczny i anti-narodowy, ruski, zakradł się między młodzież polską we Lwowie i ofiarował jej niby Uniję Rusi z Polską, na podstawie socyalistycznych zasad i socyalnych nienawiści. Szumnym programom, obejmującym wiele rzeczy praktycznych, jak na przykład wpływ uczniów na rozdawnictwo stypendyów, aż do fantastycznych, jak żądanie dymissyi Ministra Oświaty, towarzyszyły grube wybryki na ulicach a później nawet w samych murach uniwersytetu. Jednak to wszystko, z jednym wyjątkiem owej dymissyi, (którą pobłażliwie nazwano młodocianem niedoświadczeniem), wszystko zresztą, a naprzód naturalnie otwarta afirmacya bezwyznaniowości czyli bezbożności, było witane i chwalone jako pożądany objaw życia u młodzieży, brane w opiekę przeciw wstecznikom którzy ganić śmieli, przeciw młodzieży samej, która protestowała przez zarząd swojego stowarzyszenia. Dopiero kiedy (wskutku zapewne uchwały owego lwowskiego zebrania), ukazało się w Krakowie piśmko mieniające się organem młodzieży, a w programowym artykule wypierające się nie już takich przebytych przesądów, jak religia lub własność, ale nawet historycznej ojczyzny, uznając tylko jakąś etnograficzną: dopiero wtedy nasi postępowi przelękli się takiego postępu czy szczeroci, uderzyli na alarm i zaczęli wołać na młodzież żeby protestowała! Wołanie było niepotrzebne, bo do tego obowiązku byłaby się poczuła sama: ale było praktyczne, bo tym sposobem konfiskowało się dla siebie inicjatywę i zasługę tej protestacyi. Ale wołanie było niepotrzebne. Obeszła się bez niego młodzież lwowska i bez niego protestowała przeciw dążnościom owego wiecu; krakowska z popędu własnego serca i rozumu, wyparła się programu owego *Ogniska*. Chwalić jej za to nie myślimy, bo pewno nie żąda pochwał za to, że swoją powinność spełniła. Niemniej przecie miło jest

i błogo zobaczyć coś dobrego, choć to dobre jest spodziewanem, a tak naturalnem że stać się musiało.

Że się nasi reformatorowie przestraszyli takiego objawu, w to wierzymy, ale przestraszyli się trochę za późno. Można było wiedzieć z doświadczenia że w licytacyi pochlebstw i obietnic kresu niema, i zawsze znajdzie się ktoś taki co wyższą ofertę ukaże; można było wiedzieć, że kto drugich wstecznymi lub śpiącymi nazywa, ten sam pod sobą dolki kopie, bo zawsze znajdzie takiego, któremu on z kolei wstecznym się wyda, a ten ostatni zupełnie, rzetelniej, doskonalej, niby postępowy, znajdzie u łatwo-wiernych posłuch i wiarę przeciw niemu, tak, jak on znalazł ją przeciw tym których podkopywał. Można było wiedzieć, że kiedy się zachęcało młodych by nie szanowali wiary, bo jest przesądem, to niebawem kto inny powie jej że i ojczyzny niema co szanować, bo i ona jest przesądem. Kto nie chciał żeby młodzi i niedoświadczeni zrobili ten krok do postępu, ten po pierwszym kroku na zlej drodze powinien był ich nauczyć a nawet zgromić, a nie pochlebiać: wstrzymy-wać ich a nie zachęcać, kiedy pierwszy raz dali się słyszeć z bezbożnemi lub anti - społecznemi uczuciami: nie ośmielać ich i zachęcać, iżby się za ogół młodzieży uważali i udawali, ale powiedzieć wręcz, że są częścią tylko. Tymczasem zamiast zganić, chwalono ich i oklaskami obsypywano, bo objawom nie patriotycznym towarzyszyły nie religijne, a jednym i drugim towarzyszył brak uszanowania dla przełożonych, prze-czenie władzy i powagi; bo wreszcie chciano ich tym sposobem dostać pod swoją moc.

Dziwić się prawie można, a w każdym razie cieszyć bardzo, że ta systematyczna a zręczna taktyka nie odniosła większych skutków, bo w Krakowie jak we Lwowie mała tylko część młodzieży dała się uwieść i porwać. A że o tej mniejszej a głośniejszej słyszy się więcej niż o liczniejszej a cichszej, to rzecz naturalna. Pomiedzy nami dorosłymi i starymi taksamo jest przecieź; *Jenerałowie* biją w kotły, i bębny i surmy, a my liczniejsi szeregowi robimy pocichu co do nas należy; jedni mają pozór gorliwości i zasługi, a drudzy jej istotę i rzeczywistość. W młodem pokoleniu

odbija się to samo: cichsi są ale liczniejsi ci, co naprawdę i rzetelnie gotują się do rzeczywistości, do skutecznej służby.

W jakim celu te usiłowania rozstroju? Nie w zamiarach, któreby z kodexem karnym i sądami mogły wejść w nieprzyjemne sprzeczności; nie chodzi o przekroczenie tego paragrafu kodexu karnego, który mówi o zbrodni stanu, ani tego, który wyznacza kary na „zaburzenie spokoju publicznego“. Widzieliśmy wprawdzie odezwy, powołujące do składek na rzecz skarbu narodowego, i wydane w tym duchu w Paryżu broszury, ale wiemy, że naszym *Jenerałom* i ich adjutantom nie chodzi o nic innego, jak o przeczenie: o to, by coś nieznanego, bezimiennego, zawsze w społeczeństwie było, i niem o ile się da rządziło, iżby (bez myśli o powstaniu lub wojnie) miało swoje stosunki i wpływy, swoje zaufane agenty, z pomocą których mogłoby zaprzeczać temu co jest, a przeszkadzać temu, co się robi. I to jest sam rdzeń i jądro różnicy pomiędzy nami a przeciwnikami. Wiedzą oni doskonale, że nie jesteśmy ani wsteczni, ani zdrajcy Ojczyzny; że pod wszystkimi względami społecznego i politycznego postępu my ich wyprzedzamy, nie oni nas; i kiedy nas o to wszystko oskarżają, robią to dla łatwowiernych, którzy na te pozory łapać się dają. Na prawdę zaś ta jest różnica i ten główny powód nienawiści, że oni lubią *liberum conspiro*, a my tajnych działań i władz nie chcemy; że oni wierni swojej filozoficznej zasadzie przeczenia, mają w praktyce pociąg do rewolucyi, niekoniernie wybuchającej i działającej, ale ukrytej, anarchizującej i demoralizującej; kiedy my wszystko co niejawne, mamy za nieprawne, a anarchię, gdziekolwiek ona ma swoją kwaterę główną i sztab, i czy się mniej czy więcej narodowym polskim sztandarem zasłania, mamy za śmiertelną chorobę społeczeństw i ojczyzn.

Jest różnica druga, najgłębsza ze wszystkich: religijna; bezwyznaniowość czyli bezbożność, którą jedni protegują i szerzą (choć ją sami dla siebie nie zawsze wyznają), a drudzy mają za śmierć nie już polityczną lub społeczną, ale za śmierć moralną każdego społeczeństwa, każdego narodu.

Jest i trzecia jeszcze, w pojęciu społeczeństwa samego. My, wsteczni i zacofani niby, a naprawdę postępowi, pojmujemy społeczeństwo jako organiczną całość, której każda

część ma swoje przeznaczenie, swoje prawa, swoje obowiązki, a każda o tyle całości dobrze służy, o ile drugiej nie zaszkodzi, nie nienawidzi, o ile drugiej szkodzić lub jej opowiadać nie zamierza. Demokracja zaś tych panów niby postępowych, w istocie swojej i zamiarach swoich, jest zapewne miłością warstw mieszczańskich ludności, może jest (teoretyczną) miłością wiejskiego ludu, ale jest nienawiścią szlachty, i otwartym zamiarem zniszczenia jej znaczenia do reszty.

Dążność ta objawiła się wszem wobec — (może przedwcześnie i niezręcznie) — w tak zwanym wiecu wyborczym miejskim, odbytym we Lwowie, który zamierzył aż dwie pieczenie upiec przy jednym ogniu, dwie rzeczy podkopać i obalić, dwie swoje zasady wprowadzić w życie. Naprzód, występując jako komitet wyborczy drugi, oprócz i obok tego który jest wybrany przez Sejm, choć obiecywał niby działać z nim w porozumieniu, zaprzeczał go i obalał już przez to samo, że stawał jako jemu niby równy; zaprzeczał prócz tego rzecz ważniejszą, bo jego pochodzenie i źródło, jego charakter i powagę. Pokazywał, że nie Sejm, ale ktokolwiek na ochotnika ma prawo i powołanie zawiązywać komitety wyborcze. Przez to wszystko osiągał jeden swój cel, negatywny, rozkładowy, anarchiczny. Przez to zaś, że zamierzał uchwycić ster wyborów nie tylko w miastach, ale w miasteczkach, należących do wiejskich okręgów wyborczych, że we wszystkich powiatach chce mieć swoje komitety wyborcze, oprócz tych które tam zwykle były z ramienia komitetu sejmowego, chce osiągnąć cel drugi, wpływ na wybory włościańskie, taki, iżby jaknajmniej wyszło z nich szlachty, a jaknajwięcej takich, którzy daliby się prowadzić przywódcom przyszłej sejmowej lewicy. Rozprawy i mowy na wiecu, artykuły dziennikarskie po nim, dowodzą zbyt wyraźnie, że cała ta agitacja wyborcza zwrócona jest przeciwko szlachcie, że ma być jej stanowiska w kraju i działania zaprzeczeniem. Wystarczy stwierdzić, że ta polityka śmiała na owym wiecu otwarcie ze swoim programem wystąpić; a przytem dodać należy, że było kilku ludzi rozumnych i statecznych, którzy powinni byli wskazać otwarcie co to jest i do czego zmierza, a znalazło się zaledwo dwóch, którzy to choć cokolwiek zaznaczyli i wytknęli:

że Burmistrz miasta Lwowa otworzył salę radną dla wiadomego wiecu studentów, a wiecu miejskiego nikt nie zganił tak ostro jak należało. To wszystko dowodzi, że polityka przeczenia zrobiła postęp przez te lata.

A my jaką przeciw niemu stawiliśmy obronę? Niedostateczną. Nie mówimy o tych chwiejnych, którzy sami dobrze nie wiedzą jakie mają przekonania i zasady; ani o tych łatwowiernych, którzy, mając dobre, dopomagają i służą bez swojej wiedzy i woli krzewieniu i zwycięstwu fałszywych i zgubnych; ani o tych lękliwych, co niebezpieczeństwo czują, ale wskazać go i nazwać nie śmia, żeby się nie narazić; ani wreszcie o tych nieszczęsnych — jacy w każdym kraju znaleźć się muszą — co do wszystkich umizgać się umieją i lubią, byle jakoś na jakiś bodaj niski wierch się wydobyć. O to pytamy, czy ogół ludzi oświeconych i dobrych czuł, widział i odpierał to wzmaganie się złych dążeń? a odpowiedzieć musimy, że ani dość wcześnie, ani dość energicznie. Nie myślimy oszczędzać ani siebie, ani najbliższych nawet przyjaciół, i wyznajemy z góry, że nie jesteśmy bez winy.

Znamy dobrze, a poniekąd nawet tłómaczymy i uniewinniamy ten fakt powszechny, że ludzie rozważni i stateczni nie są nigdy tak zręczni, obrotni, przebiegli, jak ci, którzy do celów swoich dochodzą przez niepokój i nieporządek. Ta różnica, która napozór zdaje się tkwić w większej lub mniejszej, jednych czy drugich zdolności, energii i czynności, tkwi naprawdę w środkach tylko, jakich jedni i drudzy używają. Nie mamy my ani mniej rozumu, ani mniej wiadomości, ani pośród siebie mniej talentów jak tamci, a mamy więcej od nich charakteru, publicznego ducha, i miłości sprawy. Z tego wynika, że mamy skrupuły i zachowujemy względy, jakich oni nie znają; z tego to ogromne ułatwienie dla nich, a utrudnienie dla nas, że jedni w środkach nie przebiegają, kiedy drudzy nie używają takich, które mają za niemoralne i szkodliwe społeczeństwu, albo za krzywdzące osoby. Przed laty zdarzyło nam się rozmawiać o morderstwach politycznych z jednym fanatycznym zwolennikiem tak zwanych rewolucyjnych środków. Zapytany czy nie boi się odwetu, bo przeciwnikom także osta-

tecznie nie brakłoby ani elokwencji, ani pieniędzy, by ją kiego skrytobójcę namówić i najać; odpowiedział poprostu, że się tego nie boi, bo wie, „że wy tego nie zrobicie, choćbyście mogli“. Otóż, w stosunkach powszedniejszych, dziennikarskich, sejmowych i tysiącznych innych, jest wiele rzeczy, których my „nie zrobimy, choćbyśmy mogli“. Nie będziemy naprzykład chwalić i wystawiać za dobre czegoś, co wiemy, że jest złem, choć taka pochwała mogłaby nam posłużyć do popularności; nie będziemy ludzi uczciwych ogłaszać za łotrów, zdrajców, albo złodziei, (raczej o złych ludziach powiemy zaledwo małą część tego, co o nich myślimy); nie będziemy rozsiewać fałszywych wiadomości, przekręcać spraw i zmieniać ich natury, bo wiemy, że to kłamstwo, a kłamstwo jest brzydkie. Nie będziemy jątrzyć umysłów i uczuć, i utrzymywać ich w stanie sztucznego rozdrażnienia, bo nam na to nie pozwala miłość Ojczyzny, szacunek dla społeczeństwa, i wzgląd na jego dobro. W skutku więc tej różnicy używanych środków, jesteśmy zawsze w położeniu gorszem i trudniejszym od naszych przeciwników, bo zawsze łatwiej i prędzej trafi do swego celu ten, który działa na złe strony ludzkiej natury i przez nie, aniżeli ten, który odzywa się do stron dobrych, za te chce swego słuchacza uchwycić, i za ich szlachetną pomocą podnieść go wyżej. Tem się tłómaczy, że najczęściej i najpowszechniej lepsza połowa społeczeństwa jest pobita, a gorsza górą. Francya z pewnością nie jest cała taka, jak jej Izby i jej niezliczone ministerya, a jednak ta brzydka i licha mniejszość, udaje się za Francją całą i władnie nią, bo się udaje i odwołuje zawsze do niższych gorszych skłonności ludzkiego umysłu i ducha.

Ale oprócz tego ogólnego prawa, które nas w pewnej mierze usprawiedliwia, oprócz tego szczęśliwego przypadku, jakim dla naszych przeciwników była śmierć tylu dzielnych i tęgich z pośród nas, są i inne powody ich sukcesu, z których już rozgrzeszyć się nie możemy.

Niedawno jeden ze znakomitych publicystów francuskich wyrzucał tamtejszym tak zwanym konserwatystom, że są opieszali. My Polacy do miłego wezasu zawsze skorzy, moglibyśmy słusznie zarzut ten wziąć do siebie. Nie robimy

w naszym stronnictwie nie złego, owszem, robimy i staramy się robić dobrze, ale grzechów opuszczenia mamy na sumieniu niemało. Prawda, że skład i stanowisko sejmowej prawicy — którą powtarzamy, że za bardzo potrzebną i dobrą na razie uważaliśmy — kępowały nas we wstępnem początkującym działaniu; ale mimoto mogliśmy byli dojść do lepszego, silniejszego, bardziej wpływowego stanowiska, a nie zajęliśmy go z własnej winy. Gdyby naprzykład przy ostatnich wyborach do Rady państwa wszedł był w skład Koła polskiego choćby mały zastęp kilku ludzi młodych, rozumnych, zdatnych, a połączonych między sobą wspólnością przekonań i dążeń, byłoby to wyszło na dobre obradom i stanowisku Koła i krajowi samemu, bo byłoby mu zgotowało związek sił zwartych, zdolnych do ataku równie jak do odporu, ludzi zdolnością i powagą wyższych, których nam bardzo potrzeba. Oprócz takiego grzechu opuszczenia dobrej sposobności — a sposobności utracone nie łatwo się wracają — popełniliśmy i grzechy niezręczności. Oto jeden dla przykładu. Gdyby przy uzupełniającym wyborze do Rady państwa z miasta Krakowa, był stanął z naszej strony kandydat ogółowi sympatyczny, kandydat przeciwny albo nie byłby się wysuwał, albo (co dla nas jeszcze lepiej) byłby odniósł smutną porażkę. Zamiast tego, żaden z nas nie zdobył się na to poświęcenie, jakim jest istotnie poselstwo w Radzie państwa; postawiliśmy kandydata, który miał niechętnych wielu, i dowiedzieliśmy tyle, że ten kandydat przy największych wysileniach przeszedł małą większością, przeciwnik małą większością upadł, czyli miał niespodziewany tryumf, który mu stworzył stanowisko i znaczniejszy wpływ w mieście, którego dalsze skutki praktyczne okazały się przy następujących nieco później wyborach do Rady miejskiej. Inny nasz grzech, to niechęć i ociąganie się ludzi młodych a rozumnych do spraw politycznych. Znamy ich wielu i bardzo ze wszech miar dobrych, którzy garną się do prac naukowych, lub z konieczności pracują w urzędzie, ale żaden nie czuje tego popędu czy zapалу, żeby się mieszać do spraw politycznych, żeby zabrać głos w dyskusji, pisać w takich materyach i wprawiać się do walki, do obrony swoich przekonań. Czy nie czują potrzeby, czy energii nie mają?

dość, że przeciwnicy mają zawsze świeży (choć nie szczególnie) przyrost nowych sił publicystycznych, a my obchodzimy się starami. A jak tych zabraknie, to co będzie? kto je zastąpi, jeżeli młodszy nie będą zawczasu wprawiać się i przygotowywać?

Albo nasze zachowanie się względem dziennikarstwa? Że wielu szlachty na wsi trzyma *Reformę* i wierzy jej, a nie widzi, że sobie przez to nogi podcina, że trzyma ją — (nieraz mimo zakazu biskupów) — wielu księży, a nie widzi, że popiera przez to pismo przeciwne religii i Kościołowi, to się tłómaczy lekkomyślnością i łatwowiernością, a po części sympatją do liberalizmu i demokracji. Ale ludzie zupełnie wytrawni i rozważni, zdolni rozumieć i rozumiejący niebezpieczeństwo złego dziennikarstwa, jak zachowują się względem dobrego, względem swego własnego, a przynajmniej względem tego, które za swoje własne uważać powinni? Naprzeciw propagandy jaką sobie ze skutkiem robią dzienniki złe, zdawałoby się rzeczą naturalną robić propagandę dobrym, zasłaniać je i bronić kiedy są szarpane, wymawiać i tłómaczyć jeżeli nie doskonale. Zamiast tego my narzekamy tylko między sobą, a nawet przed nieprzyjaciółmi, że *Czas* nudny! Znamy najlepiej jego usterki; a zwłaszcza ten, że monarchista wielki sam żyje w republikańskiej konstytucyi, i choć ma jedność moralną, niema jedności i organiczności technicznej. Ale gdyby nawet prawdą było co o nim mówią, gdyby miał sto razy mniej zalet a więcej wad niż ma, to jeszcze wobec systematycznego poniewierania i szkalowania którego on jest celem, wobec tego usuwania i wypierania go, które zamyka przystęp do ludzkich głów naszym własnym przekonaniom i dążnościami, należałoby nietylko z pobłażaniem znosić i po przyjacielsku poprawiać jego usterki, popierać go swoim wpływem, zdaniem i współpracownictwem, ale trochę się rozgrzać, trochę się oburzyć, trochę wpaść w zapał w obronie tego obrońcy własnej sprawy. Niespodzianie znalazł się drugi. Człowiek długo pogrążony we wszystkich uprzedzeniach i niedorzecznościach naszego *postępu*, ale uczciwy i dobrej wiary, nareszcie poznał się na wszystkich nierzetelnościach zasad i ludzi, przejrzał, zbrzydził się do nich,

i z otwartością tem dla nich przykrzejszą, że opartą na doskonałej ich znajomości, zrobił ich fotografię wierną w *Listach do Przyjaciela*. Jakie niegodziwe oskarżenia i prześladowania musiał za to znosić pan Masłowski i jego *Przeгляд*, to wiemy. Że nieraz brakło mu taktu, to być może, ale to nie powód i nie racya, żeby go bez obrony zostawić. Tymczasem, kiedy napadały na niego wszystkie pisma przeciwne, od najrozumnniejszych jak petersburski *Kraj*, do najostatniejszych jak *Kuryer Lwowski*, my znosiliśmy to z objętością i filozoficzną flegmą, jak żeby chodziło o najgorszego nieprzyjaciela właśnie. Kiedy dzienniki przeciwne znajdują się w kłopotach pieniężnych, to niemal każdy z tych co im sprzyja i ma je za dobre, przychodzi im w pomoc, małemi kwotami, jak kto może, ale licznie. My składamy się nieurodzajem, niskimi cenami, biedą, i zapewne nie bez racyi. Ale paręset ludzi, którzyby mogli dać po dwadzieścia lub trzydzieści reńskich na to, by złe wpływy tamować, a dobre szerzyć, jeszczeby się przecie znaleźć mogło. Zamiast tego, zamożni, bynajmniej nie zadłużeni, na potrzeby takiego dziennika zamykają uszy i kieszenie. Niechże się potem nie dziwią i nie skarżą, że najbardziej czytany w kraju dziennikiem jest *Kuryer Lwowski*, ale niech się także zapytają sami siebie, czy swoją obojętnością nie przyczyniają się do rozszerzenia złych pojęć i dążności?

Moglibyśmy takich grzechów własnych, uczynkowych czy opuszczenia, przytaczać wiele: naprzykład nasza zakonzeniona wygodność (jeżeli się tak wyrazić można), albo ten zły zwyczaj, że przez grzeczność czasem, czasem przez marne wyrachowanie, dopuszczamy do znaczących stanowisk politycznych ludzi, którym nie ufamy, których nie bardzo szanujemy. Ale to co już powiedziano, wystarczy, by nas przekonać, że naszą powolnością zbyteczną względem przeciwników, a podejrzliwością względem ludzi własnych przekonani, dopomogliśmy tym przeciwnikom bardzo. Widząc nas tak powolnych i dobrodusznych, prosta rzecz, że nas mają za słabych, że wszystko sobie pozwolonom sądzą, a po wielu powodzeniach sięgają po większe. Zwolują wiece miejskie, choć ich żadne miasto do tego nie wybierało ani nie upoważniało; ogłaszają zasadę, że każdy ma prawo zawią-

zywać komitet wyboreczy (jak niegdyś konfederacyę); po wsiach zawiązują komitety z włościan, żeby wyboru szlachcica nie dopuścić, choćby przytem dawne przygasłe nieufności i zawiści rozdmuchać, zabliznione rany rozjątrzyć...

Jednak przerachowali się trochę panowie *Jenerałowie*, a to ostatnie powołanie pospolitego ruszenia nie wyszło im na dobre. Spostrzeżono się dość powszechnie, a spostrzeżono nawet na samym owym przez nich zwołanym wiecu, jak dowodzą głosy panów Serafińskiego i Fruchtmanna. *Gazeta Narodowa*, z którą, jak wiadomo, nie zawsze bywamy w zgodzie, pojmuje tę sprawę taksamo, jak my, jak *Czas*, jak *Lwowski Przegląd*. Znak to wyraźny niemałej zaiste w kraju jednomyślności. Teraz więc chodzi o więcej baczności, mniej powolności na przyszłość. Ta przyszłość zaś, niech nam to wolno będzie powiedzieć, zależy głównie od tej ogromnej większości kraju, od tego ogółu ludzi dobrej wiary i dobrej woli, ludzi porządnych, którzy mają i rozumu i patriotyzmu dosyć, by przewidywać przyszłość, a terażniejszości nie marnować: — ale mają zarazem (niech nam wybaczą), mają czy to na wsi, czy po miastach, za wiele w sobie bierności i powolności. Ci przeczenia i rozkładu z pewnością nie chcą, a jeżeli dotąd byli względem niego zbyt pobłażliwi, to ufamy, że na przyszłość w wyborze dróg się nie pomylą, bo ostrzeże ich instynkt miłości Ojczyzny i zabezpieczenia jej przyszłości. Dróg tych jest dwie, a bodaj czy nie przybliżyliśmy się nieznacznie do punktu, na którym one się rozchodzą. Jedna idzie przez przeczenie do rozkładu, druga przez działanie do społecznego ładu, siły i postępu.

III.

Nie układając horoskopów ani programów dla przyszłego Sejmu, można przecież z tego co się widzi i wie, wnosić, co w nim być może, albo co być powinno. I tak przypuszczać łatwo, że rozszerzona po powiatach agitacya wiecu miejskiego, może wzmocnić szeregi lewicy, bądź to posłami z tak zwanej intelligencyi, bądź włościanami, którzy się przez lewicę dadzą prowadzić. Wiadomo bowiem, że wy-

dane jest dla stronników tej partji hasło: gdzie się nie da przesadzić swojego, tam popierać wybór chłopą przeciw szlachcicowi, czyli kandydata który się łatwiej da opanować i wyzyskać przeciw myślącemu i oświeconemu, demokratycznego przeciw świadomie narodowemu. Dalej wiedzieć można, że ta (jakkolwiek liczna) lewica będzie dążyła do zmiany ordynacyi wyborezej, i że będzie działała w porozumieniu i przzymierzu z (liczniejszymi może także) posłami ruskimi. Wszystko to wiadome, bo urzędownie przez ów wiec zapowiedziane i ogłoszone.

Alians lewicy z posłami ruskimi jest naturalny i logiczny; sympatye, które żywiły te zbliżają i łączą, są silniejsze od uczuć i dążeń które je rozdzielać mogą. Dzieli bowiem jedno tylko, uczucie patryotyczne, które nie wąpimy, że u naszych *Jenerałów* jest, ale nie może przeważyc całej sumy uczuć i dążeń wspólnych obu stronom. Rusini sejmowi, jeżeli nawet nie ciągną do Rosyi (a niektórzy ciągną do niej oczywiście i bardzo), to w każdym razie nienawidzą Polski jawnie i zawzięcie: to prawda, to szkoda, i to w doskonałym porozumieniu zawsze przeszkoda. Ale niemniej ci Rusini są żywiołem nawskróś demokratycznym: ich sprawa nie jest tylko narodową, ale jest razem i agraryjną, i socyalną, i religijną — jakże więc nie mieć do nich pociągu i z nimi się nie łączyć! Szlachty nie cierpią, to pewna, nienawistną większą własność radziby chętnie rozdrobnili, choć dziś o „lisach i pasowyskach“ nie mówią; a choć przez wzgląd na obecnych w Sejmie biskupów swoich, po części na rząd austryacki, Kościoła otwarcie wypierać się nie mogą, to przecie przy każdej sposobności dają wyraźnie do poznania, że go nie cierpią taksamo jak my liberalni i postępowi! Wszakże ksiądz Kaczala był księdzem, a nie wahał się mówić o „tak zwanej Unii“ jako o ucisku i nieszczęściu, które naturalny rozwój Rusi wstrzymało. Jest więc styczności zbyt wiele na to, iżby nie miało być porozumienia i często jednokowego głosowania. Będzie ono naturalnie podszyte i upozorowane mnogimi i szumnemi zastrzeżeniami na rzecz patryotyzmu polskiego, będzie może flómaczone jako torowanie drogi do pożądaney zgody i miłości między obu stronami, ale będzie zawsze w kwestyach obchodzących nasz organizm

społeczny, zawsze ile razy interes narodowy znajdzie się w sprzeczności z demokratycznym.

Do tego odłamu przyszłego Sejmu zbliżać się będą nie zawsze ale często naprzód ci, którzy woleliby umrzeć, niż narażać się na posądzenie, że nie są liberalni i postępowi, co dopiero na naganę ze strony *Reformy* lub *Kuryera lwowskiego*, na niepopularność! Dalej ci, którzy niespokojnie szukają jakiegoś odznaczenia się, jakiegoś politycznego stanowiska i pilnie upatrują takiej w Sejmie grupy, któraby do ich talentu i charakteru wiarę miała, albo ją przynajmniej grzecznie udawała. Z temi więc siłami będą mieli do walczenia ludzie stateczni, zwolennicy statecznej polityki, którym nie o to chodzi by przeczyć, ale aby robić; nie o to, by o postępie mówić, ale o to, by go dokonać; nie o to, by społeczeństwo drażnić, rozstrajać i rozprzegać, ale o to, by je organicznie rozwijać i wzmacniać. Jakże ci mają urządzić się w przyszłym Sejmie i w nim występować?

Sześćcioletnie doświadczenie musiało nas dostatecznie nauczyć, na dziejach i losach Centrum a nawet i Prawicy, że ostatni nasz rozdział na kluby dokonał się na fałszywej sztucznej zasadzie, która jako fałszywa i sztuczna dobrych zdrowych skutków wydać nie mogła. Prawdziwych różnic politycznych lub społecznych między temi dwoma klubami nie było; różnice w pojmowaniu kwestyj szczegółowych, nie wystarczają na to, by na nich oprócz dwa różne stronnictwa. Niechęci lub nieporozumienia między ludźmi, drażliwości, próżności, lub inne wady osobiste, mogą za to sprawić ten skutek, że ludzie w przekonaniach siebie bliscy, będą się unikać i podejrzynwać wzajemnie, patrzeć na siebie jak na przeciwników lub nawet nieprzyjaciół. Taka była historia Prawicy i Centrum, a obie strony źle wyszły na tej swojej postawie. Prawica choć miała rzeczywistszy silniejszy powód bytu i fundament, dlatego tylko że była odporna, musiała tracić na żywotności i wpływie: a dlatego znowu, że była klubem osobnym i Prawicą nie mogła nigdy prawie ani swoich wniosków przesadzić, choć były słuszne i dobre, ani szkodliwych odwracać. Centrum znowu w niejasności i chwiejności swojej racyi bytu i postawy, nosiło swój defekt organiczny i chorowało na niego do końca: układało statuta

i programy, wybierało coraz nowych prezesów, ale w końcu spostrzegło się samo że nie ruszyło z miejsca, i straciło wiarę w siebie, żywotność, wreszcie po kolei i najcięższych swoich zniechęconych członków. Ci zaś znowu, którzy w najlepszej myśli i chęci utrzymania równowagi między tymi dwoma klubami, utworzyli trzeci, (tak zwaną Grupę), nie znajdowali okazji do wywierania tego wpływu w rzeczach zasadniczych ale tylko w drobnych i podrzędnych, i znowu zadania na prawdę spełnić nie mogli, istotnej silnej racy bytu nie mieli.

Czy to samo ma się powtórzyć i w przyszłym Sejmie? Nie trzebaby. Nie trzeba tembardziej, że naprzeciw siebie będzie się miało prawdopodobnie silniejszego i śmielszego przeciwnika. Ten przeciwnik, sądzimy, nie będzie wybiegał poza szranki austriackiej polityki, raczej będzie się w niej trzymał, w nadziei że i on kiedyś dostanie się do Rządu. Ale w tych szrankach będzie działał we Lwowie w tym duchu, w jakim działa w Wiedniu lewica Rady Państwa; będzie swojemi siłami i środkami dążył do tego samego celu, to jest do urzędzenia społeczeństwa i Państwa podług przepisów swojej doktryny, do wtłoczenia ich w swoje niby liberalne a naprawdę despotyczne formy; w kraju wreszcie, będzie utrzymywał tęsamą negacyę i tęsamą agitacyę, tęsame równoległe i niby równorzędne swoje organa i władze, obok jawnych i prawnych.

Przeciw tym odśrodkowym dążeniom trzeba ześrodkowania; przeciw tym dezorganizującym organizacyom prawdziwie organicznego skupienia się około stałego istotnego środka ciężkości. Takim jest oczywiście stosunek do Monarchii, stosunek do dzisiejszego gabinetu, a jego wyrazem polityka i stanowisko Koła Polskiego w Wiedniu. To powinno być regulatorem i drogowskazem naszego postępowania w Sejmie. Że zaś w rozprószczeniu klubowem nietylko we Lwowie zatracą się potrzebna jedność kierunku, ale rozstrój i rozsypka przenoszą się do Wiednia, i nieraz dają się uczuć w Kole tamtejszem, przeto byłoby rzeczą wskazaną i roztropną zaniechać klubów, a szukać pola do pozasejmowych obrad i przygotowań, środka do znacznej i silnej większości w Kole Sejmowem, które zaniechanem nie było nigdy, ale

przez kluby właśnie wiele na znaczeniu i powadze straciło. Zdajemy sobie sprawę doskonale z trudności i niedogodności obradowania w wielkiej liczbie ludzi, a zupełnie swobodnie i otwarcie; ta to trudność sprawiła, żeśmy się kiedyś podzielili na kluby. Ale skoro te nie wydały tak dobrych skutków jak nam się zdawało, skoro silniejsza niewątpliwie postawa przeciwnika nakazuje i nam przybrać podobną, skoro stała i pewna większość jest nietylko praktyczną potrzebą Sejmu, ale kraju i społeczeństwa, którego podstawami przeciwnik chwiać próbuje, to użyjmy najspodobniejszego potemu środka, wróćmy do Koła. Niech Koło polskiemu w Wiedniu odpowiada Koło Sejmowe we Lwowie; niech te dwie reprezentacje kraju będą jednolite i związane, połączone nietylko tym samym duchem i celem, ale stałym związkiem jednako-owego postępowania; niech to będą dwie części czy formy tego samego doskonale jednego organizmu. Jako wyraz zaś dowód i rękojmią tej jedności, niech stoją obie pod jedną i tą samą głową; niech Przewodniczącym Koła Sejmowego we Lwowie, będzie Prezes Koła polskiego w Wiedniu — pan Jaworski.

Oto co uważamy za najlepsze, do czego przystąpić bylibyśmy gotowi.

Gdyby jednak to okazało się niemożliwym, gdyby mianowicie żywioly sprzeczne i przeczące połączyły się w jakiś klubowy związek lewicy, to strona druga musiałaby z konieczności zrobić to samo. Związek taki nie mógłby oczywiście mieć cechy terytoryjalnej ani szlacheckiej, ale musiałby ściągać do siebie i objąć wszystkie te żywioly, które w dobrej wierze mają się za powołane i obowiązane do działania, a nie do przeczenia. Nie mógłby też stać na obronnym, odpornym stanowisku dawnej prawicy. Było ono w swoim czasie potrzebne, zatem na pewien czas dobre; ale na długo wystarczyć nie może. Teraz trzeba być z sobą w porozumieniu na to, by to co się za dobre uważa śmiało w Sejmie wnosić, i energicznie ile się da do uchwały doprowadzać.

Jakie są najbliższe zadania przyszłego Sejmu? każdy odpowie, i my, jak każdy, że pierwszym zapewne jest zabezpieczenie przyszłej równowagi w budżecie, która wskutku nieuniknionego wzrostu wydatków, musiałaby runąć w nie-

długim czasie, gdyby się nie oparła na pewnej i silnej podstawie. Tą podstawą, tym środkiem do celu wiodącym, jest stanowcze i korzystne załatwienie wiszącej sprawy indemnizacyjnej. Nad tą niema się co rozwodzić; wszyscy rozumiemy jej wagę, jak wszyscy łatwo zgodzimy się na to, że sposób załatwienia wypadnie przyjąć najkorzystniejszy, ale dziś wskazywać go i przewidywać zawcześnie. Nie będziemy również rozwodzić się nad stosunkiem do posłów ruskich i sposobem załatwienia ich wniosków. Nie wiedząc jakie one będą, możemy tylko przewidywać, że w znanym duchu i kierunku będą może występowały liczniej i śmielej; wiemy też także, że nasze względem nich stanowisko zmienić się nie może dopóki nie zmieni się ich stanowisko, czyli, że trzymać się będziemy dawnej zasady: wszystko co prawo przepisuje i przyznaje, bez złudzeń i sentymentalnych rozczuleń. Wiemy jeszcze i to, że w dniu kiedy zmieniona postawa Rusinów pozwoli nam zająć serdeczniejszą, będziemy bardzo szczęśliwi.

Na wybór Wydziału krajowego zwrócić wypadnie baczną uwagę. Czynności jego rozszerzają się, a przez lepsze lub gorsze, szybsze lub powolniejsze ich sprawowanie wpływają znacznie na ogólny stan spraw krajowych. Wydział złożony z ludzi rzeczywiście czynnych, sprężystych, oddanych zupełnie jego sprawom (dość zaiste licznym i ważnym by zapełnić i wyczerpać mogły czas i siłę sześciu ludzi), jest istotną potrzebą kraju, przed którą względy podrzędne choćby bardzo szanowne, winny ustąpić.

Że sprawa organizacyi gminnej stanie na porządku dziennym obrad sejmowych w ciągu tej nowej kadencji, nie wątpimy, a z niejednej bardzo pocieszającej w przeszłym Sejmie oznaki wnosimy, że może pójdzie łatwiej i lepiej niż dotąd. Jakie będzie nasze wobec niej stanowisko i zachowanie, mówić nie potrzebujemy. Dwadzieścia z górą lat poselskiej i publicystycznej przeszłości wskazuje i świadczy dostatecznie za czem jesteśmy i będziemy: za tem co gminie jedno może nadać żywotność i rzeczywisty byt, a różnym pierwiastkom społeczeństwa lepsze zbliżenie i związek, za połączeniem dworów i gromad w jedność, której terytoryalne rozmiary rozumiemy że muszą być większe od granic jednej wsi, a nazwa jest nam obojętną.

O szkołach pewno będzie mowa w Sejmie i nieraz; niechże nam wolno będzie w tej sprawie najważniejszej, bo rozstrzygającej o wartości i oświacie przyszłego społeczeństwa, powiedzieć słowo, nie wesołe, ale prawdziwe.

Domagamy się wszyscy szkół dla ludu, i słusznie: słusznie domagał się Szujski, żeby one były do potrzeb i życia ludu zastósowane, zatem sześćioletnie; słusznie Zyplikiewicz, żeby były zastósowane do możności pieniężnej ludu i kraju, zatem tanie ale liczne; słusznie wreszcie domagają się różne kraje państwa Austryackiego, a Rząd sam wnosi, iżby wpływ religijny w wychowaniu był silniej zabezpieczony i skuteczniejszy. U nas, prawda, wyznajemy to z radością, ustawy szkolne nie nadały dotąd szkole bezwyznaniowego charakteru, ale i u nas więcej pod tym względem baczności i ścisłości, nie zawadzi. Świeże wnioski rządowe w sprawach szkolnych, nieprędko zapewne odbiją się w obradach naszego Sejmu; zawczasie więc byłoby pytać, jak one wpłynąć mogą na nasze szkoły, i jak się względem nich mamy zachować. Ale jest kwestya inna, kwestya nauczycieli, z przyszłością społeczeństwa tak związana, że o niej nigdy dość myśleć nie można, a niezależna od bieżących i przemijających wniosków czy stosunków.

Chcemy mieć szkoły, chcemy, żeby były dobre: nie słusniejszego. Ale szkoły bez nauczyciela być nie może. Im więcej szkół, tem większy wydatek na nauczycieli, których gminy wszystkie własnymi środkami rzadko tylko mogą opłacać; zatem tem większy ciężar na krajowym budżecie. Ciężar ten z pomnożeniem szkół i wzrostem ludności musi naturalnie wzrastać. Jak zdołamy go udźwignąć? jak nauczyciele sami przy swojej nader niskiej płacy zdołają się utrzymać? a przy utrzymaniu złem, obarczony rodziną zwłaszcza, czy nie stanie się gorzkim, rozżalonym, przez to gorycz i zawiść szerzącym? Zrozumiał to niebezpieczeństwo Sejm ostatni, i byt nauczycieli poprawił znacznie. Nauczyciel wiejski zaczyna od płacy bardzo skromnej, ale przez pięćioletnie dodatki dochodzi do takiej, jakiej nie mają niżsi urzędnicy pocztowi lub telegraficzni, a ma oprócz tego mieszkanie i prawie zawsze kawałek gruntu. Człowiek dobrego charakteru i zdrowego umysłu, może na takim utrzymaniu poprzestać

i nie czuć się nieszczęśliwym; na usposobienia zawistne i przewrócone głowy rady niema, bo takie zawsze bywać na świecie muszą. Tylko to podwyższenie plac nauczycielskich jak zacięży na budżecie? W tym pierwszym roku już spowodowało różnicę około stu tysięcy złotych w krajowych wydatkach. Z większą liczbą szkół i nauczycieli, jak wzrosnie ten wydatek? O tem warto pomyśleć i szukać sposobu na to, by mieć nauczycieli podostatkiem i dobrych, a nie drogiech. Takim środkiem najlepszym byłoby bractwo nauczycielskie, takie jak francuzkie *de la doctrine chrétienne*, którego członkowie musieliby naturalnie mieć nauczycielskie examina i patenta. Człowiek, który z poświęcenia, z miłości Boga i bliźniego przyjął zawód i obowiązek nauczyciela wiejskiego, potrafi być szczęśliwym w tym zawodzie przy utrzymaniu najskromniejszym; jego potrzeby nie mogą rosnać, a żądań nie ma.

Z pewnością takie Bractwo byłoby doskonałe na to, by nam dać nauczycieli dosyć i dobrych dla szkół, a ich utrzymaniem budżet jaknajmniej obciążać. Czy o tem ani marzyć nie można? Prawda, że nie mamy takiego Bractwa; ale czyby nie znalazł się kto coby je zawiązał, czyby nie garnęli się do niego ochotnicy? piękne powołania wychowawcze zdarzają się pośród nas, przynajmniej pośród naszych zakonów. Misyjonarze, naprzykład, zaczęli zbierać chłopców najwięcej zaniedbanych, i z niczego stworzyli zakład niezmiernie już pożyteczny; może być, że odezwą się i takie powołania ściśle nauczycielskie. Już zaś dziś, bez żadnych nowości ani zmian, mogłyby w niektórych razach wielką być pomocą właśnie zgromadzenia zakonne uczące. Wiemy, jak doskonale prowadzą szkoły Felicjanki naprzykład, albo (mniej rozszerzone i znane) Tereyarki Dominikanki. Prosta rzecz, że utrzymanie lszkoy musi być tańsze tam, gdzie nauczyciel nie bierze płacy za swoją pracę. W miasteczkach, naprzykład, albo w tych wsiach, gdzie dwór przyczynia się do utrzymania szkoły budynkiem własnym lub dodanym gruntem, szkoła, prowadzona przez zakonnice, kosztowałaby mniej, niż zwykła szkoła pospolita. Ale to oczywiście powszechnem być nie może: mogłoby co najwięcej być częstszem niż jest. I to byłoby dobre: tylko na to trze-

baby znowu, żeby władze szkolne nie były przeciwne zakładaniu takich szkół, i nie utrudniały go tak, jak się to dotąd nieraz zdarzało.

W niemożności podniesienia płacy nauczycieli, w braku takich, którzy na złem utrzymaniu przestałby radzi chcieli, co możemy zrobić na to, by nauczyciel na swojej posadzie nie czuł się skrzywdzonym i nieszczęśliwym? Jedno tylko: odpowiednio go wychować. Chować go w takich warunkach i trybie życia, iżby późniejsze życie na wsi wśród prostego ludu ani go upokarzało, ani raziło, ani mierziło; iżby bardziej od zwykłego włościanina wykształcony, ten nauczyciel przecie nie czuł się czem innym jak on, a swoim sposobem życia, nie był od niego zbyt odległy. Prawda, że właściwa miara jest do utrafienia niezmiernie trudna. Nauczyciel nie może być tem czem chłop i żyć jak on, bo musi być obok niego i dla niego przykładem i wzorem wykształcenia i wychowania lepszego. A jednak dalekim od niego być nie powinien. Inaczej może nastąpić ten skutek, że będzie i nieszczęśliwy i nie lubiony; wieś będzie go uważała za coś obcego, zewnętrznego, co do niej ściśle nie należy, nie jest jej organiczną częścią, temsamem co ona.

Internaty dla nauczycieli wiejskich, chowanie i kształcenie ich pod uczciwym rozumnym dozorem, jest niezawodnie pierwszym, najpewniejszym i najdzielniejszym sposobem dobrego ich wychowania. Młody chłopak, niedoświadczony, na pół poduczony, przez rodziców oczywiście bardzo mało wychowany, a zostawiony sam sobie, z konieczności i biedy żyjący w otoczeniu nieraz grubiańskim i dzikiem, wystawiony na wszystkie grube pokusy złego towarzystwa, kawiarnianej jeżeli nie szynkowej rozrywki i takiejże literatury, musi się często zepsuć, nabrać złych obyczajów, a wyobrażeń fałszywych i przewrotnych. Przez wzgląd i uszanowanie dla moralnego poziomu wsi i szkoły, w których ten nauczyciel czynnym będzie, baczyć mamy obowiązek na to przede wszystkim, żeby jego serce i obyczaj były dobre, jego głowa nieprzewrócona. Mądra też i wielkiej zasługi była myśl pana Pawła Popiela, żeby dla przyszłych nauczycieli zakładać Internaty: tych mamy dotąd za mało, ale dzięki Bogu (i dobrym a mądrym ludziom) za te, które są. Tylko po-

trzebujemy ich więcej; a jeżeli sprawa indemnizacyjna przestanie ciążyć na naszym budżecie swoją ogromną wagą, jeżeli nią nie krępowani będziemy mogli z większą przedsiębiorczościąłożyć na rzeczy, których przyszłość kraju wymaga, od których po części zawisła, to w takim razie sześć lat przyszej kadencji sejmowej nie powinny przeminąć bez pomnożenia liczby Internatów nauczycielskich. Wiemy, że nasza lewica będzie się temu opierała wszelkimi siłami, znamy jej argument: „w zamknięciu nauczyciel nie rozwine się, nie pozna życia, nie stanie się samodzielnym“ i tak dalej. Odpowiadajmy na to, jak odpowiedziano już przed laty, że z tego zamknięcia nie wyjdzie ani głupszy, ani mniej przysposobiony, a wyjdzie zdrowszy na ciele i umyśle, czystszy niż obyczaj, niż z tego wolnego życia bez dozoru i kierunku. Tak odpowiadajmy i róbmy swoje, ile zdołamy.

Ale jeżeli chodzi nam o to — a powinno chodzić, bo to bardzo ważne — żeby przyszły nauczyciel nie czuł się na wsi nieszczęśliwym, to starajmy się chować go w tem życiu wiejskiem, do którego jest przeznaczony. Wiemy, że niepodobna zakładać Internatów nauczycielskich nie tam gdzie są nauczycielskie seminaria, a tych znowu niepodobna zakładać na wsi. Ale zdaje nam się, że w małych miastach byłyby one jeszcze lepsze i skuteczniejsze niż w wielkich, a w małych czy w wielkich, sądzimy, że tryb życia nie będąc grubym, może przecież być do wiejskiego zbliżonym.

Niektórzy uważają dozór i opiekę nad przyszłemi nauczycielkami, Internaty dla nich, za rzecz tak ważną, jak męskie, lub może od tych ważniejszą, za jedno z tych przedsięwzięć, które Sejm przyszły wykonać — przynajmniej rozpocząć — powinien. Inni znowu odpowiadają na to, że o ile seminaria nie powinny nigdy przyjmować uczennicy, któraby nie mieszkała przy uceciwej, własnej lub zaprzyjaźnionej rodzinie, o tyle chowanie ich pod dozorem ochmistrzyń, niezawsze roztropnych, a często suchych i sztywnych, mogłoby źle je usposobić do przyszłego wiejskiego życia. Z własnem zdaniem się nie odzywamy, nie dlatego, jakobyśmy go wcale nie mieli, ale że się z nim odzywać uważamy za rzecz przedwczesną.

Prawodawstwo w rzeczach szkół średnich, tak niestety,

mało do Sejmu należy (a raczej wcale od niego nie zależy), że na tem miejscu mówić o tych sprawach jest może prosta stratą czasu. Rada szkolna przez szczęśliwe nominacje, przez staranie o lepsze książki, przez coraz większą pilność, karność i sprężystość, robi na tem polu co może, robi od lat kilku i więcej i lepiej niż dawniej; z Sejmem zostaje ile może w żywym związku i życzenia jego spełnia; a pewnoś jest wszelka, że ten postęp ku lepszemu pod rządami nowego Namiestnika nie ustanie, lecz owszem rozwinie się i utrwali. Więcej cóż w Sejmie zrobić możemy? wyrazić jakieś życzenie, wezwać Rząd do założenia szkoły gdzie potrzebna, i koniec. Jednak, choć o tych sprawach radzić nie stanowczo nie będziemy, pcha nam się gwałtem pod pióro myśl jedna, dawno w głowie i przekonaniu tkwiąca. Niech się raz głośno wypowie: jeżeli w niej jest co dobrego, to może się przyjmie i z czasem skutek jaki sprowadzi.

Niepokoimy się nieraz ogromnym nadmiernym przyrostem uczniów po gimnazyach; slyszełiśmy ludzi bardzo nawet postępowych, przelęknionych tem, co nazywali hyperprodukcją intelligencji. Istotnie, nauka obowiązkowa pcha wszystkie dzieci do szkół pospolitych, a popęd wrodzony ludzkiej, w szczególności naszej polskiej naturze, popęd do wydobywania się ze swego stanu i położenia, pragnienie i nadzieja lepszego losu, pchają wielką liczbę tych dzieci do szkół średnich i wyższych. Jak często, jak nieraz okrutnie nadzieja ta zawodzi, to wszyscy wiemy. Z wytrwałością nieraz prawdziwie budującą, a tragiczną przez to że daremną, w ciągłej walce z niedostatkiem, głodem, zimnem, złem zdrowiem, w ciężkiej walce z własną nieraz słabą zdolnością, przebywa nieszczęśliwy chłopiec lata gimnazyalne, potem lata uniwersyteckie, i myśli, że teraz przecie zacznie się lepsze życie. Płynął rozpaczliwie, sto razy omal nie utonął, ale narreszcie dobił do brzegu! Nieprawda! ten brzeg to ruchomy piasek, na którym stanąć, ani kroku postawić nie można, trzeba się zapadać, grzęznąć, i ginać. Świat cały niby przed nim otwarty, ale w tym świecie wszystko zamknięte. Starających się o posady więcej niż posad; szczęśliwy ten, co jakąś na całe lata bezpłatną uchwycił, może z czasem znajdzie utrzymanie. Młodzieniec z istotnie nieraz rzadką zdol-

nością, ginie wreszcie złamany na duchu i zdrowiu; mało zdolny, taki, który tylko pracą i natężeniem przebyć zdołał nauki i examina, jakież ten ma widoki przed sobą! a takich naturalnie musi być więcej.

Coraz też więcej nieszczęśliwych, zawiedzionych, którym dziwić się nie można, że mają w duszy gruby osad goryczy i żalu, ale którzy przez to tem łatwiej złymi i szkodliwymi stać się mogą.

Ten przyrost zaś jest z każdym rokiem większy: można obliczyć, że z każdym rokiem będziemy mieli większą warstwę takich nieszczęśliwych i marniejących.

Dostrzeżono tego złego, i szukano na nie rady. Znacznie podwyższona opłata szkolna miała być tamą przeciw zbyt niemu napływowi uczniów. Skuteczną się nie okazała, a dla wszystkich niebogatyh uciążliwa, sama przez się jest nieprzyjemnym i nieładnym środkiem. Lepszym zdawałby nam się taki, który nie mechaniczną i pieniężną, ale umysłową, naukową stawiałby granicę między młodzieżą lepiej i gorzej usposobioną do wyższych nauk. Taka granica byłaby i naturalniejsza i sprawiedliwsza, i mogłaby wszystkim, społeczeństwu całemu, wyjść na pożytek. Mamy gimnazyum niższe i wyższe: ostatnie, prowadzące już do uniwersytetu, i w nim znajdujące swoje konieczne dopełnienie. Ale po skończeniu czterech klas niższych, chłopiec nie jest jeszcze tak wykształcony, iżby koniecznie wyższych nauk potrzebował, jest dość wykształconym na to, by w każdym stauie czy zawodzie był człowiekiem oświecieńszym, a jest jeszcze tak młody, że każdy stan czy zawód od początku może zaczynać, tak elastyczny, że do każdego jeszcze nagiąć się i przywyknąć zdoła.

Gdyby więc od nas zależało, zaprowadzilibyśmy po pierwszych czterech klasach gimnazyalnych examina, i to ścisły, examina nie dojrzałości oczywiście, ale bystrości i zdatności, po którym uczniowie tężsi przechodziliby do klas wyższych, słabsi musieliby odpaść. Byłoby gatunek młynka, w którym ważne i zdrowe ziarno utrzymałoby się na wierzchu przetaka, odjemne spadłoby na dół. Ale ten chłopiec mniej zdatny, któryby do piątej klasy nie poszedł, w czterech nauczyłby się przecież tyle, że czy w handlu, czy w rze-

miośle, czy w fabryce, byłby zawsze jednym z rozumniejszych i więcej cywilizowanych, przez to podnosiłby poziom cywilizacyjny całego swojego otoczenia; sam doszedłby prędzej z mniejszym trudem do utrzymania (nieraz może lepszego), jak jego kolega pasujący się z trudnościami wyższych nauk; — bardzo często byłby człowiekiem od tamtego szczęśliwszym. A gdyby też po owych czterech klasach zechciał do ojca i gospodarstwa na wieś powrócić, jakim mógłby być włościaninem rozumnym, świat znającym, do lepszego gospodarowania usposobionym, może coraz zamożniejszym, skupującym grunta, zaokrąglającym ojeowiznę... Cywilizacya rzemieślników, drobnych handlarzy, włościan, podniosłaby się przez to na wyższy poziom; uniwersytety miałyby mniejszą liczbę, ale zdolniejszych, lepiej wykształconych uczniów, a poziom nauki i wyższej oświaty nie straciłby na tem, aleby zyskał.

A skoro już zapuszczamy się w marzenia i mówimy o rzeczach, których Sejm sprawić nie może, ale których przyszłość może potrzebować, to będziemy już odważni (lub może zuchwali) do końca, i wypowiedamy się z jednej jeszcze troski, która nam cięży na sercu jak kamień.

Tą jest przechodzenie ziemi w obce, nie polskie ręce. W Wielkopolsce wykupują ją z pod nas siłą kapitału, praw wyjątkowych i (do niedawna jeszcze) naszej nieopatrności; pod rządem rosyjskim nie pozwalają jej nabywać a nawet dziedziczyć, i nad każdą z nas, który rosyjskim poddanym nie jest, wisi ta groźba przymusowej sprzedaży, która sprawia, że jego majątek jest jego dożywociem tylko. A my w Galicyi, nie zbytkujemy, nie marnujemy, nie próżnujemy nawet (mówiąc o większości), ale skutkiem dawniejszych przyczyn raz po raz to kmiecią rolę, to szlacheckie mienie oddajemy w ręce Niemca lub żyda. Wieleto u nas powiatów, gdzie obywateli żydów prawie tyle co chrześcian Polaków. Daleka od nas wszelka nienawiść, a jeszcze dalsze jątrzenie przeciw komukolwiek: ale bliska troska, co z nas będzie, jak nam tej ziemi pod nogami i w rękę coraz mniej zostanie. Był gdzieś kiedyś jakiś król bez ziemi, ale narodu bez ziemi nie było nigdy i być nie może prócz żydów, którzy mają osobne przeznaczenie i bezwiednie mu ulegają. Nie o

samą zaś tylko kmiecią rolę chodzi, choć o nią nie mniej, ale o szlacheckie dobra, bo nie tak polskiego ducha nie trzyma i nie utrzyma, jak ziemia w polskim, świadomie polskim ręku.

Indemnizacya propinacyjna może nas bardzo wspomódz i podeprzeć, może nam część długowego ciężaru z ramion odwalić, może zostawić mniejsze raty do spłacenia, a przez to większe bezpieczeństwo przeciw niedoborom wynikającym z nieurodzajów, klęsk, niskich cen i podobnie. Ale jeżeli nas nie poratuje? jeżeli ten środek chybi? jeżeli ją jakoś zmarujemy i strwonimy, a nie będziemy mieli tego gotowego dochodu, jaki propinacya dawała na pożyczkowe raty i na prowadzenie gospodarstwa, czy wtedy za lat kilka nie doczekamy się — Boże odwróć — strasznej klęski licytacji coraz liczniejszych, a już nie do odwołania, nie do odwrócenia.

Pamięci, baczności na to niebezpieczeństwo prosimy, błagamy ze wszystkich sił, i nie naszych tylko, ale ze wszystkich zbiorowych sił przeszłości i przyszłości, narodu i ojczyzny. Ufamy w Bogu, i w naszym własnym sumieniu i honorze, że ta straszna możliwość nie stanie się nigdy rzeczywistością. Ale kiedy widzimy, że jest u nas majątków zadłużonych wiele, że choćby nie więcej, to już te mogą dojść do przymusowej sprzedaży i dostać się w obce ręce, przychodzi nam do głowy nie myśl nawet, ale tylko nieśmiałe pytanie, czy nie możnaby niebezpieczeństwu w pewien sposób zaradzić. W Wielkopolsce założono w takim celu Bank ziemski; czy on jest praktycznie obmyślany i urządzony, na tem się nie rozumiemy i nie znamy, ale coś podobnego mogłoby i u nas okazać się potrzebnem. O ile możliwem? Czy znaleźlibyśmy potrzebny po temu kapitał i ludzi do zarządu? Nie wiemy, ale to wydaje nam się jasnem, że należy wymyśleć i przygotować jakąś instytucyę, której celem byłoby w pierwszym rzędzie ułatwiać zachowanie większych obszarów ziemi w ręku polskim, a gdzie to nie byłoby możliwem, parcellowanie ich i sprzedawanie włościanom. Byłbyto zawsze jeszcze sposób zachowania ziemi w rękach polskich, a włościanin bogatszy, na większej przestrzeni gruntu osiadły, stałby się z czasem rdzenną siłą nie tylko społeczną, ale i narodową. Przed laty

miał i ogłosił myśl tę pan Henryk Kieszkowski, a że nie była utopijną, dowodzi fakt, że się gdzieś tam przecie przyjęła, i w dwóch powiatach (Jarosławskim i Limanowskim) spółki takie ochronne wydała. Zdaje nam się więc, że trop jest: czy nie możnaby za nim trafić do celu? Czy to możliwe, czy praktyczne, niech sądzą mędrsi; my nie wiemy, a mówimy tylko, co nam uczucie i prosty (w tych rzeczach mało ćwiczony) rozsądek dyktuje.

Dodalibyśmy jeszcze jedno. Produkcya fabryczna, łatwość i taniość komunikacyi, wreszcie niemożność zaprowadzenia cel ochronnych między nami a bogatszymi i przemysłniejszymi krajami monarchii, grozi upadkiem naszym rzemieślnikom i drobnym przemysłowcom. Na fabrycznym obuwiu i jego składach we Lwowie i Krakowie mieliśmy próbkę i złego, i trudności zaradzenia złemu. W prawie środka przeciw temu niema, w naturze rzeczy jest to, że kupujący ostatecznie zawsze liczniej i częściej uda się tam, gdzie ten sam towar kupi za mniejszą cenę. Jednak jak upadek kupiectwa jest widoczny i dotkliwie czuć się daje, tak upadek rzemiosł grozi i ratować się od niego trzeba. W Warszawie, w warunkach nierównie trudniejszych, znalazły się przecież środki pomocy w założonych kasach, wydanych podręcznikach technicznych sposobów i handlowych stosunków. Nie próbujemy wskazywać środków, przytaczamy tylko przykład; a przypominamy, że środków szukać i bronić się nam należy, bo inaczej i ta gałąź naszego życia może uschnąć, a gdzie wszystkie od mrozów lub posuchy tyle już ucierpiały, tam każdej pilnie strzedz, każdą opatrywać należy, żeby jej się przynajmniej nie gorszego nie stało.

Jeżeli mówimy tu o rzeczach, które nie wchodzą w zakres czynności sejmowych w ogóle, lub przyszłego Sejmu w szczególności, to dlatego, że należą one do podstaw społeczeństwa i obchodzą jego przyszłość; nasze zaś — wracamy do założenia — znajduje się w stanie przejścia, przejścia, a cała jego przyszłość może zależeć od tego, czy z obecnego przeobrażenia wyjdzie ono zdrowszem i silniej

polskiem, niż jest dziś, albo też słabszem i kosmopolitycznym. Że się ono demokratyzuje, to konieczność, którą rozumiemy i przyjmujemy; ale to znowu jest koniecznością nie już jednego czasu, lecz niezmienną, w naturze ludzi i rzeczy ugruntowaną, że żywotnem i trwałem żadne społeczeństwo być nie może, jeżeli nie jest ucziwem i organicznem. Nie może zaś być ucziwem, jeżeli jest bezbożnem; nie może być organicznem, jeżeli jest anarchicznem. Naszej zaś formującej się demokracji grozi to niebezpieczeństwo, że jak szlachta niegdyś, tak ona dziś popadnie w moc ludzi, którzy psychologicznie naturalnym sposobem przewodzić jej prawie muszą, a warunków i pierwiastków moralnie dobrego i organicznie zdrowego postępu w sobie nie mają. Zaślepieni swoją doktryną, że do wolności sumień i wyznań potrzebna jest negacya wszelkiego wyznania, bezwyznaniowość, mają oni i szerszą nienawiść do katolickiego Kościoła, a o ile jej nie mają, to jej bezwiednie służą. W działaniu zaś swoim używają środków zarówno moralnie złych, jak społecznie szkodliwych i rozkładowych. Oparci na filozofii przeczenia, uważając przeczenie za pierwiastek postępu i swój obowiązek, nurtują i podkopują wszelki społeczny związek i równowagę, kiedy starają się w podejrzenie i ohydę podawać ludzi i zwierchności, powody, znaczenie i skutki spraw przekręcać, a obok jawnego istniejącego porządku władz i rzeczy tworzyć jakiś inny, równoległy, swój, który jest tamtego przeczeniem, i środkiem utrzymania społeczeństwa w niepokoju i zamęciu. Mówią o postępie, ale na czem się ten postęp zasadza, tego pokazać i przekonać o nim nie umieją. We wszystkich kierunkach społecznego i narodowego życia, politycznym, ekonomicznym, naukowym, literackim, my niby zacofani możemy wykazać tęższych ludzi, szersze pojęcia, lepsze dzieła, rzeczywistsze skutki, zatem rzeczywistsze postępy, niż oni. Mówią wprawdzie o potrzebie zbliżenia się do ideału powszechnego głosowania: ale ten ideał, lat temu czterdzieści, mógł w dobrej wierze być uznawanym za wyraz i warunek postępu; dziś, po doświadczeniu poznany w praktyce, jest przestarzałym i przeżytem stanowiskiem, bo dziś każdy myślący człowiek wie, że ów ideał jest tylko podwójną komedią. Komedią głosowania powszechnego, bo ono nie

jest nigdy powszechnem; a powtóre komedyą woli społeczeństwa, naprawdę zaś tylko narzędziem w ręku mocniejszego. Jeżeli postęp ma oznaczać i wolność i rzeczywistą reprezentację społeczeństwa w rządzie, jeżeli do nich chce naprawdę dążyć, to przedewszystkiem to wiedzieć powinien, że ta zasada jest fałszywa, bo pod pozorami równości przynosi albo despotyzm odrazu, albo despotyzm pośrednio, po anarchii.

Prawda, że te pozory równości są dla takich *jeneratów przeczenia* droższe nad wszystko: nad wolność, nad siłę, nad sam byt i przyszłość społeczeństwa i ojczyzny. Widzimy to w wielu krajach, stronnictwach lub nawet rządach w Europie, tylko tego nie widzimy, żeby to tym krajom i narodom wychodziło na dobre, żeby dźwigało w górę ich ojczyzny.

Zastanawiamy się głęboko i oddawna nad pytaniem, w czym tkwi sam rdzeń i istota tego postępu o którym nam tyle prawią, a dojrzeć jej doprawdy nie możemy. Jedną widzimy zasadę, w różnych stopniach i odcieniach przez nasze pisma postępowe wyznawaną, to bezwyznaniowość, przeczenie i nienawiść wiary. Jeżeli to postęp, to ten w nich jest: ale z tym wyjątkiem nie dostrzegliśmy zasady żadnej, któraby ten ich postęp wyrażała i stanowiła. Kiedy socjaliści mówią o zniesieniu własności lub rodziny, mówią o rzeczach dla wszelkiego społeczeństwa śmiertelnych; ale można zrozumieć czego chcą i do czego dążą. Ale na czym się zasadza i do czego dąży postęp, jak go pojmują i głoszą nasze niby postępowe pisma, tego doprawdy zmiarkować nie umiemy.

Bodajby tą drogą, na którą weszły, nie zaszły w końcu tam, gdzie wierzymy że zmierzać nie chcą.

Przypadek naprowadził nas na domysły i obawy, które daj Boże by się prawdą nie okazały. Pewien młody człowiek przeczytał jakiś świeżo ogłoszony tomik wierszy i dowodził nam, że wiersze wprawdzie są liche, ale stanowisko autora jest wyższe i oznacza postęp. Dlaczego? dlatego, że nie stoi na przebytem, romantycznym, patryotycznym stanowisku Mickiewicza i innych, ale ma ideał lepszy i wyższy, zajmuje się kwestyami (*sit venia verbo*) „ludzkościowemi.“ O tem, że jak służąc w wojsku, można mu służyć tylko w jakimś

pułku czy kompanii, tak ludzkości całej służyć można tylko w swoim narodzie i przez niego, mówiliśmy już na początku; ale bodaj czy naiwne wyznanie owego młodzieńca nie oznacza trafnie tego postępu, do którego zmierzamy. Kosmopolityzm lepszy i wyższy od patryotyzmu, demokracja i republika lepsza od ojezyny, to widziało się we Francji, kiedy postępowi radowali się i tryumfowali nazajutrz po Sedanie, a w obliczu wojsk pruskich podnieśli potem wojnę domową; to w niektórych (prawda, że dotąd tylko w najgorszych) pismach i książkach warszawskich odzywa się nieraz wyraźnie. Wiem, że i to zwala się na karb ludzi statku, a przedewszystkiem Stańczyków! Onito niby, przez surowy rachunek z Polską dawną i dzisiejszą, przez wydobycie na wierzch jej błędów, mieli odjąć jej zaufanie we własną wartość i przyszłość, bo wykazali szkodliwość powstań, zniszczyli ideał patryotyczny. Że zaś naród bez jakiegoś zostać nie może, więc w miejsce tamtego, przez nas niby zgładzonego, wystąpił ten nowy, kosmopolityczny i socjalny. To, moi panowie, wiecie że jest jednym z waszych wielkich kłamstw, i wiecie dlaczego je popełniacie. Nie pokażecie we wszystkim, cośmy mówili i pisali, ani jednego słowa, któreby było przeczeniem ojezyny i jej miłości; znajdziecie tylko przeczenie konspiracji i bezimiennej anarchicznej polityki; i to przeczenie udajecie za tamto, bo ono godzi w wasze osoby, w metodę i nieomylność waszego działania.

Dziś, kiedy je ponawiacie ze świeżą energią, nie w celu powstawania, powtarzamy, ale w celu przeczenia, rozstrajania, anarchizowania społeczeństwa, by je przez to pod swoją władzą trzymać, nie dziwcie się, że powtarzamy wam wszystko, cośmy wam i przeciwko wam mówili od lat dwudziestu i kilku, co wam mówili najlepsi i najmędrsi z Polaków: nie za naszego tylko czasu lub wieku, ale od chwili, jak wam podobna anarchiczna demokracja zaczęła chwiać podstawami Rzeczypospolitej. „Taki rząd *popularitatis* — mówi Skarga — „musi przecie mieć swoje króliki, a o te króliki nietrudno, „którzy jadowitemi językami myśli swe zakryte wykonywając, poburzą prostaki i od nich na sejmach mówią i czynią „co chcą, i składają na bracią, a bracia albo o tem nie myślą, albo zwiedzeni jak dzieci pod płaszczem wolności,

„krzykiem i wrzaskiem przyzwolili nie wiedząc na co, i „szkody a zguby swej nie bacząc.“ Otóż my „królików“ nie lubimy: czy to w staropolskich karmazynach, czy w purpurze dzisiejszej demokratycznej czerwoności. A że jedni do drugich podobni, że tesame mają środki działania, i tejsamej natury cele, że jak tamci niegdyś Polskę niepodległą do upadku przywiedli, tak ci dzisiejszej ani się dźwignąć, ani się wzmocnić, ani się naprawić nie dają, więc przestrzegamy przed nimi siły świeże a ucziwe, które na wstępie w swoją historyczną rolę mogłyby tak łatwo dać się podejść i uwieść, jak w swoim czasie szlachta królikom i demagogom oligarchicznym. Obiecują oni piękną przyszłość i postęp, ale w tę przyszłość i ten postęp jaki oni obiecują nie wierzymy, bo z przecezenia jedna tylko rzecz może wyjść i zrodzić się — nicość.

Widzimy wielu, którym doświadczenia tak liczne, tak ciężkie, tak świeże, nie wystarczyły i oczów nie otworzyły na istotną wartość takich zasad i takiej polityki, i dlatego nie jesteśmy bez obawy o koniec tej kryzys, jaką społeczeństwo polskie przebywa. Widzimy w niem jednak znaczny przyrost sił, świadomości, rozumu, mocy nad sobą, odwagi cywilnej i publicznego ducha, i mimo naturalnego niepokoju nie wątpimy, że dobra szala przeważa złą. Rzecz jest godna uwagi i bardzo pocieszająca, że kiedy pośród szlachty znajdują się zawsze jeszcze tacy, którzy idą na lep królików dzisiejszych, jak ich ojcowie chodzili na lep królików karmazynowych, to w sferach miejskich odzywa się nieraz instynkt trafny i rozumny zmysł polityczny, i to nie w większych tylko, ale w zupełnie małych miastach i miasteczkach; odezwał się nawet podczas i w sprawie owego wiecu miejskiego. Jedno staje za drugie, jedno dodaje otuchy, kiedy drugie martwi. Są więc warunki i pierwiastki stroju w tym rozstroju; ale mimo tych oznak dobrych, błędem byłoby i zaślepieniem ukrywać sobie, że jesteśmy wystawieni na wzmocnione szturmy i wpływy *generatów* czy *królików*.

Prąd ten wzbiera u nas, tak jak w Królestwie, choć wskutek krajowych stosunków inny ma tu i tam kształt i zakres, i nawet poniekąd inny charakter. Tamten naukowy i literacki więcej, jest szczerzej i gorzej kosmopolitycznym;

tutejszy więcej polski (tę sprawiedliwość można mu jeszcze oddać), jest więcej polityczny; tamten więcej filozoficznie, ten więcej praktycznie rozkładowy; tamten łączy głównie do bezbożnych i socjalistycznych myślicieli i pisarzy, ten z legitymizmem tajnych rządów narodowych łączy pociąg do działających praktycznych rewolucjonistów europejskich. (Czy jest łączność i obmyślana wspólność w ich działaniu, tego oczywiście wiedzieć nie możemy: ale jeżeli nawet niema jednego nadawanego im z góry popędu, to są jednakowe i wspólne popędy, są podobne dążności i cele, tak, że działanie jednych i drugich obraca się na wspólny pożytek i może wydać tensam skutek: złe przeistoczenie społeczeństwa, zepsucie jego charakteru, zagładę jego moralnej odrębności i istoty, czyli ostateczny rozstrój i prawdziwy *Finis Poloniae*. Przed stu laty, kiedy zdrowa część narodu nie tak skutecznie jakby była mogła, ale przecież zabierała się do wielkiego dzieła organicznej naprawy państwa i społeczeństwa, królikowie ówczesni, królikowie przeczenia, stanęli im naprzek drogi i rydwan Rzeczypospolitej zepchnęli w przepaść, wiemy jaką. Przez cały wiek XIX królikowie znowu — choć już nie arystokratyczni — łamali do reszty szczątki tego wozu, po którym i poznać trudno czem był kiedyś, i szczątki te za każdym razem głębiej w przepaść spychali. Dziś, kiedy znowu próbuje się składać, dobierać, sztukować potrzaskane kawałki, żeby z nich coś całego złożyć, znowu nic, tylko przeszkody i psucie. Czem dawniej *liberum veto*, tem w naszym wieku jest *liberum conspiro*; czem dawniej konfederacye, tem organizacye; a jedno i drugie jest tąsamą negacyą Pospolitej Rzeczy i publicznego ducha, tem samym rozprzęganiem i rozkładem politycznego i społecznego organizmu.

Czy wiek XIX ma się skończyć tegosamego ducha tryumfem? Byłoby źle, bo w takim razie w wieku dwudziestym mogłoby już o nas nie być mowy wcale. I dlatego przestrzegamy ludzi dobrych przed wrodzoną łatwowiernością i dobroduszością, która zbyt często stawała się i staje u nas szkodliwą pobłażliwością, powolnością lub opieszałością: prosimy o czujność i spójność. Jeżeli jest prawo pociągu i powinowactwa między pierwiastkami chemicznych rozczywników, to jest takiesamo między pierwiastkami do-

datniami, składającymi ciała stałe, niewzruszone zręby i posady, na których osadza się ziemia, a zakwita nasz żywy świat. Jeżeli warstwy tej nowej formacyi mają się odtąd układać horyzontalnie, a nie jak dotąd wertykalnie, niech tak będzie! ale niechże się składają z pierwiastków zdrowych, i niech te zdrowe skupiają się razem w massy granitu i massy humusu. Warstwa, którą one złożą, musi być i silniejsza i rodzajniejsza od tamtej: bo i one lepsze, i kit który je spaja tęższy. Jedne przylegają i przyrastają do siebie siłą dodatkich uczuć i zasad, drugie łączą się siłą uczuć namiętnych zwykle, ale ujemnych, które z natury mają ruch i moc odśrodkową, i nadługo skupiać się około jednego środka nie mogą. Wosk, w który pszczoły składają swój miód, ma jakąś spoistość i regularną budowę; to, co budują szerszenie, jest napozór kunsztowne, ale rozsypuje się jak popiół, do którego jest z barwy i miąższości podobne.

Ci, którzy życie oddali na to i za swój mają przed Bogiem i ludźmi obowiązek, żeby lepieć z wosku komórki a z komórek plastry, którzy miód znoszą i robią jak mogą, nie doskonale zaiste, ale lepiej niż drudzy; ci (czy oni są ze szlachty, czy z miast, czy z chłopów), którzy się mają za powołanych i przeznaczonych nie do przeczenia, ale do działania i służenia, ci niech swoje robią dalej; a przytem niech pamiętają jedno. Dziś mamy tu jeszcze do tej roboty warunki szczęśliwe, a w tej chwili w skutku zbiegu okoliczności tak szczęśliwe i sposobne, jak nie były dawno. Ale jak długo one potrwać, i czy za drugie sześć lat będą takie-same? Korzystajmyż z tej chwili, i zbierzmy co się da zapasów miodu do naszego ula, bo jakbyśmy te lata bezskutecznie zmarnowali, to nie wiemy czy po nich nie nastąpią gorsze: a wiemy, że dobra sposobność raz z ręki wypuszczona, nie lubi łatwo ani rychło powracać. Pamiętajmy, że plon i zarobek tych przyszłych lat sześciu, a może wielu dalszych w przyszłości, w wielkiej mierze, od tego zależeć musi, czy my *szeregowcy działania* pośród zamętu i rozstroju jaki sprawić chcą *jenerałowie przeczenia*, potrafimy być naprawdę „w zamęcie miarą, i strojem w rozstroju.“

St. Tarnowski.



